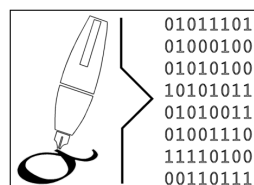


PHILIP K. DICK

KOSMICZNE MARIONETKI

Przełożyła Jadwiga Andruszkiewicz-Fiejtek



Tytuł oryginału:

The Cosmic Puppets

Data wydania polskiego: 1999 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1964 r.

*Mojej siostrze
Fran Gibson
z zachwytem i miłością*

1

Peter Trilling przyglądał się spokojnie grupce dzieci, które bawiły się na podwórzu obok werandy. Były bardzo pochłonięte swoją zabawą. Mary pieczołowicie ugniatała brązowe bryły gliny, nadając im bliżej nie określone kształty. Noaks starał się zawzięcie jej dorównać. Dave i Walter skończyli już modelować swoje bryły i odpoczywali. Wtem Mary odrzuciła do tyłu czarne włosy, wyprężyła się i postawiła obok gotową figurkę glinianej kozy.

— Widzisz? — rzuciła. — A gdzie twoja?

Noaks zwiesił głowę. Jego ręce były zbyt powolne i toporne, aby nadażyć za jej zręcznymi palcami. Mary tymczasem zgmiotła już swoją glinianą kozę i szybko przekształciła ją w konia.

— Spójrz na mój model — mruknął ochryple Noaks. Postawił na ognie niezdarnie uformowany samolot i odpowiednio zabuczał zaślinionymi ustami. — Widzisz? Niezły, co?

— Jest brzydki — parsknął Dave. — Spójrz na to — dodał i przesunął w pobliże psa Waltera swoją glinianą owcę.

Peter obserwował całą tę zabawę w milczeniu. Siedział skulony z dala od reszty dzieci, na dolnym stopniu schodów prowadzących na werandę, z rękoma założonymi na piersi i szeroko otwartymi dużymi, brązowymi oczyma. Zmierzwione jasne włosy, o piaskowym odcieniu, zakrywały jego szerokie czoło. Policzki miał mocno opalone. Był drobny, szczupły, miał drugie ręce i nogi, kościstą szyję i dziwnie ukształtowane uszy. Był małowówny, lubił siedzieć na uboczu i obserwować innych.

— Co to takiego? — zapytał Noaks.

— Krowa — odparła Mary i uformowawszy nogi, postawiła swoją figurkę na ziemi obok samolotu Noaksa. Noaks spojrział na krowę z podziwem i cofnął się, opierając rękę o swój samolot. Podniósł go i żałośnie wodził nim w powietrzu.

Doktor Meade i pani Trilling zeszli schodami pensjonatu. Peter odsunął się na bok, ustępując drogi doktorowi; starannie unikał kontaktu z jego nogawką w niebieskie drobne prążki i czarnymi połyskującymi butami.

— No — zawołał doktor Meade energicznie, zwracając się do swojej córki i spoglądając na złoty kieszonkowy zegarek — pora wracać do Domu Cieni.

— Czy nie mogłabym zostać? — zapytała Mary, wstając z ociąganiem.

Doktor Meade objął córkę z czułością.

— Chodź, moja mała wędrowniczko — powiedział. — Do samochodu. — Obrócił się do pani Trilling i rzekł do niej: — Nie ma się czego obawiać. To prawdopodobnie sprawa pyłku żarnowca. Właśnie teraz kwitnie.

— Te żółte krzewy? — zdziwiła się pani Trilling, wycierając łzawiące oczy. Jej pulchna twarz była obrzmiała i zaczerwieniona, a oczy ledwie widoczne. — Ale w ubiegłym roku tego nie miałam.

— Alergie to dziwna rzecz — powiedział niejasno doktor Meade, żując koniuszek cygara. — Mary, powiedziałem ci przecież, żebyś wsiadła do samochodu. — Otworzył drzwi i usiadł za kierownicą. — Proszę do mnie zadzwonić, pa-

ni Trilling, jeśli te tabletki antyhistaminowe nie pomogą. Tak czy inaczej, będę prawdopodobnie dzisiaj wieczorem na kolacji.

Potakując i pocierając oczy, pani Trilling weszła z powrotem do pensjonatu, do gorącej kuchni pełnej nie pozmywanych talerzy po lunchu. Mary, z rękoma w kieszeniach džinsów, ruszyła niechętnie w kierunku furgonetki.

— No i po naszej zabawie — mruknęła.

Peter zsunął się ze stopnia, na którym siedział.

— Teraz ja się pobawię — powiedział cicho.

Wziął pozostawioną przez Mary glinę i zaczął ją formować.

Gorące letnie słońce spowijało położone na wzgórzach farmy, kępy krzaków i drzew oraz samotnie rosnące cedry, wawrzyny i topole. I oczywiście sosny. Opuścili okrąg Patrick i zbliżali się do Carroll, kierując się do położonego w jej sercu Beamer Knob. Droga, którą jechali, była mocno zaniedbana. Żółty lśniący packard krztusił się, z trudem wspinając się po stromych zboczach Wirginii.

— Ted, wracajmy — jęknęła Peggy Barton. — Mam już dosyć.

Odwróciła się i zaczęła grzebać za siedzeniem, szukając puszki piwa. Piwo było ciepłe. Wrzuciła je do torby i usadowiwszy się z powrotem w fotelu, oparła się o drzwi, zakładając ze złością ręce na piersi. Kropelki potu spływały jej po policzkach.

— Jeszcze nie teraz — mruknął Ted Barton. Opuścił szybę w drzwiczkach samochodu i spojrzął przed siebie z wyraźnym podnieceniem na twarzy. Słowa żony nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Cała jego uwaga skoncentrowana była na drodze rozciągającej się przed nimi i tym, co spodziewał się ujrzeć za następnymi wzgórzami. — To już niedaleko — dodał po chwili.

— Ty i to twoje cholerne miasto!

— Ciekawy jestem, jak ono teraz wygląda. Wiesz, Peg, to już osiemnaście lat. Miałem zaledwie dziewięć lat, kiedy moja rodzina wyjechała do Richmond. Ciekaw jestem, czy jeszcze ktoś będzie mnie pamiętał. Ta stara nauczycielka, panna Baines. I ten Murzyn — ogrodnik, który pielęgnował naszą posesję. Doktor Dolan. A także inni.

— Pewnie już nie żyją. — Peg wyprostowała się i nerwowo szarpnęła odpięty kołnierzyk swojej bluzki. Zlepione potem kosmyki ciemnych włosów oblepiały jej szyję; kropelki potu spływały po piersiach, po jasnej skórze. Zdjęła buty i pończochy, podwinęła rękawy. Jej spódnica była pomarszczona i brudna od pyłu. Wokół samochodu brzęczały muchy; jedna z nich usiadła na jej połyskującym ramieniu i Peg uderzyła ją ze złością. Cóż za pomysł, żeby tak spędzać urlop! Równie dobrze moglibyśmy zostać w Nowym Jorku i byłoby to samo, pomyślała. Przynajmniej jest tam coś do picia.

Znajdujące się przed nimi wzgórza zaczęły gwałtownie rosnąć. Packard zwolnił, dławiąc się, a następnie przyśpieszył, kiedy Barton zmienił bieg. Olbrzymie szczyty wznosiły się na tle nieba, przypominając Appalachy. Oczy Bartona napełniły się podziwem na widok lasów i gór, majestatycznych szczytów, dolin i przełęczy, których nie spodziewał się kiedykolwiek jeszcze zobaczyć.

— Millgate leży na dnie niewielkiej doliny — mruknął. — Dookoła otaczają ją góry. To jedyna droga, która tam prowadzi, chyba że do tego czasu zbudowali

inne. To maleńkie miasto, kochanie. Senne i zupełnie typowe, jak wiele innych tego rodzaju. Dwa sklepy z artykułami metalowymi, drogerie...

— A bary? Proszę, powiedz mi, że jest tam chociaż jeden porządy bar.

— Zaledwie kilka tysięcy mieszkańców. Niewiele samochodów. Okoliczne farmy są takie sobie. Ziemia jest tu zbyt skalista. Śnieg w zimie i potworne upały w lecie.

— Nie bujaj — mruknęła Peg. Jej zarumienione policzki pobladyły, a obrzeże ust przybrało zielonkawy odcień. — Ted, czuję, że chyba dostanę choroby samochodowej.

— Zaraz będziemy na miejscu — powiedział uspokajająco Barton. Wychylił się przez okno, wyginając, jak tylko mógł, szyję, aby ogarnąć wzrokiem jak najwięcej krajobrazu. — O, jest ten stary dom na farmie! Pamiętam go. I tę boczną dróżkę — rzekł, skręcając z głównej drogi w boczną. — Jeszcze tylko to wzniesienie i jesteśmy na miejscu.

Packard przyśpieszył. Sunął pośród spalonych słońcem pól i wałących się ogrodzeń. Droga była pełna wybojów i porośnięta zielskiem, w fatalnym stanie. Wąska i pełna ostrych zakrętów.

Barton wciągnął głowę do środka.

— Wiedziałem, że tu trafię. — Zanurzył rękę w kieszeni płaszcza i wyjął z niej swój szczęśliwy kompas. — On mi w tym pomógł, Peg. Mój ojciec dał mi go, kiedy miałem osiem lat. Kupił go w sklepie jubilerskim Berga na ulicy Centralnej. Jedynym sklepie jubilerskim w Millgate. Nigdy mnie nie zawodzi. Zawsze go noszę ze sobą i...

— Wiem — jęknęła Peg. — Słyszałam to już milion razy.

Barton z czułością odłożył srebrny kompas. Chwytał mocno kierownicę i wlepił wzrok przed siebie, jego podniecenie rosło w miarę zbliżania się do Millgate.

— Znam każdy centymetr tej drogi. Wiesz, Peg, pamiętam, jak kiedyś...

— Wiem, że pamiętasz. Mój Boże, tak bym chciała, żebyś wreszcie c o ś zapomniał. Mam już dosyć słuchania szczegółów z twojego dzieciństwa, wszystkich tych radosnych opowieści o Millgate i Wirginii. Chwilami, jak to słyszę, chce mi się wręcz krzyknąć!

Droga skręcała stromo w dół, prosto w gruby obłok mgły. Z nogą na hamulcu Barton skierował packarda w dół i zaczął zjeżdżać.

— Oto jest — powiedział łagodnie. — Spójrz.

Pod nimi rozciągała się niewielka dolina zasnutą niebieską mgiełką. Wśród ciemnej zieleni wił się strumień niczym czarna wstęga. W oddali widać było misterną siatkę polnych dróg i skupiska domów przypominających kiście owoców. Millgate we własnej postaci. Masywna, potężna niecka utworzona z gór otaczających szczelnie dolinę. Serce Bartona zabiło mocniej z podniecenia. Jego miasto... miasto, w którym się urodził, wyrósł i spędził dzieciństwo. Nigdy nie liczył, że jeszcze je kiedykolwiek zobaczy. Spędzali właśnie urlop i przejeżdżając przez Baltimore, wpadł nagle na ten pomysł. Szybki skręt przy Richmond... by zobaczyć jeszcze raz swoje Millgate, zobaczyć, jak się zmieniło...

Millgate majaczyło przed nimi. Skupiska zakurzonych brązowych domów i sklepy znajdujące się po obu stronach drogi. Szyldy. Stacja benzynowa. Kawiarnie. Kilka moteli i zaparkowane samochody. Piwiarnia Złoty Blask. Packard minął drogerie, obskurny urząd pocztowy i nagle znalazł się na środku miasta.

Boczne ulice. Stare domy. Zaparkowane samochody. Bary i tanie hotele. Wol-

no poruszający się ludzie. Farmerzy. Białe koszule właścicieli sklepów. Herbariarnia. Sklep meblowy. Dwa sklepy spożywcze. Duży targ, owoce i warzywa.

Barton zwolnił przed światłami ulicznymi. Skręcił w boczną ulicę i minął niewielką szkołę ogólnokształcącą. Kilkoro dzieci grało w koszykówkę na placu. Potem minął jeszcze dalsze domy, większe i staranniej wykonane. Otyłą kobietę w średnim wieku, w zdefasonowanej sukni, która podlewała ogród. Stado koni.

— No? — rzuciła Peg. — Powiedz coś! Jakie są twoje wrażenia?

Barton nie odpowiedział. Trzymając jedną ręką kierownicę, wyjrzał przez okno; twarz miał bladą. Zbliżywszy się do bocznej uliczki, skręcił! w prawo i wyjechał z powrotem na główną ulicę. W chwilę potem packard sunął ponownie między drogeriami, barami, kafejkami i stacjami benzynowymi. Barton nadal milczał.

Peg przebiegł dreszcz niepokoju. Na twarzy swojego męża dostrzegła coś, co ją przestraszyło. Spojrzenie, którego nigdy wcześniej nie widziała.

— Co się stało? — zapytała. — Co, bardzo się zmieniło? Jest niepodobne do tamtego, które pamiętasz?

Usta Bartona drgnęły.

— Na to wygląda — mruknął ochryple. — Skręciłem w prawo... Przypominam sobie ten grzbiet górski i te wzgórza.

Peg chwyciła go za ramię.

— Ted, co się stało?

Twarz Bartona była jak z wosku.

— Nigdy wcześniej nie widziałem tego miasta — mruknął cicho. — Różni się całkowicie. — Obrócił się w stronę żony zdeorientowany i przestraszony. — To nie Millgate, które pamiętam. To nie jest miasto, w którym się urodziłem i wychowałem!

2

Barton zatrzymał samochód. Trzęsącymi się rękoma otworzył drzwi i zeskończył na rozgrzanej nawierzchnię drogi.

Wszystko tu było mu nie znane. Dziwnie obce. To miasto to nie Millgate, które znał. Czuł wyraźną różnicę. Nigdy w życiu tu nie był.

Ów sklep z towarami żelaznymi obok baru. Był to stary, walący się drewniany budynek z łuszczącą się żółtą farbą. Barton mógł nawet dostrzec szczegóły wnętrza, uprząż, różne przedmioty używane na farmie, narzędzia, puszki farby, poźółkłe kalendarze na ścianach. Za poplamioną przez muchy szybą leżały worki z nawozami i środki do opryskiwania roślin. Pajęczyny. Pogieęte tekturowe reklamy. Był to stary sklep... stary jak diabli.

Barton pociągnął zardzewiałe drzwi i otworzywszy je, wszedł do środka. Zaszuszony staruszek siedział w cieniu za ladą niczym przyczajony pająk. Widać było tylko druciane okulary, kamizelkę i szelki. Otaczały go kartki papieru i ołówki. Wewnątrz było chłodno: panował półmrok i ogólny nieład. Barton przeszedł między rzędami zakurzonych towarów i podszedł do niego. Serce waliło mu jak młotem.

— Niech pan posłucha — zaskrzeczał Barton.

Stary mężczyzna spojrzął na niego znad okularów.

— Potrzebuje pan czegoś? — zapytał.

— Jak długo pan już tu jest?

Mężczyzna uniósł brwi.

— Co pan ma na myśli? — zapytał. — Ten sklep! To miejsce!

— Jak długo pan już tu jest?

Staruszek milczał przez chwilę, następnie podniósł guzowatą rękę i wskazał na tabliczkę na starym mosiężnym automacie kasowym: 1927. Sklep został otwarty dwadzieścia sześć lat temu.

Dwadzieścia sześć lat temu Barton miał rok. A więc sklep stał tu, kiedy dorastał. Kiedy dorastał jako dziecko w Millgate. Nigdy przedtem go nie widział. Ani tego mężczyzny.

— Jak długo mieszka pan w Millgate? — nalegał Barton.

— Od czterdziestu lat.

— Poznaje mnie pan?

Stary człowiek chrząknął z niezadowoleniem.

— Nigdy pana nie widziałem — odparł. Zapadł w posępne milczenie i nerwowo zaczął ignorować Bartona.

— Jestem Ted Barton. Syn Joe Bartona. Pamięta pan Joe Bartona? Taki rosły facet z szerokimi barami i czarnymi włosami? Mieszkaliśmy na ulicy Sosnowej. Mieliśmy tam dom. Nie pamięta mnie pan? — Ogarnął go nagły strach. — Ten stary park! Gdzie on się podział? Często się tam bawiłem. Pamiętam, że stała tam armata z czasów wojny secesyjnej. A szkoła przy ulicy Douglasa — kiedy ją zburzyli? Bazar mięsny pani Staży — co się stało z panią Staży? Nie żyje?

Staruszek podniósł się wolno ze stołka.

— Chyba dostał pan udaru słonecznego, młody człowieku. Nie ma tu żadnej ulicy Sosnowej. Nie ma.

— Zmienili nazwę? — zapytał Barton zdezorientowany.

Stary człowiek oparł poźóółkle ręce na ladzie i spojrział wyzywająco na Bartona.

— Mieszkam tu od czterdziestu lat — powiedział. — Jeszcze pana nie było na świecie, jak tu przybyłem. Nigdy tu nie było ulicy Sosnowej ani Douglasa. Jest tu niewielki park, ale zbyt mały, aby go w ogóle nazywać parkiem. Może był pan za długo na słońcu. Lepiej będzie, jeśli się pan położy. — Spojrział na Bartona podejrzliwie i z lękiem. — Niech pan pójdzie do doktora Meade'a. Coś się panu poplątało.

Zdezorientowany Barton opuścił sklep. Jaskrawe słońce oblało go blaskiem, kiedy stanął na chodniku. Poszedł nim, trzymając ręce w kieszeni. Po przeciwnej stronie ulicy znajdował się mały stary sklep spożywczy. Wytężył pamięć. Co tam mogło wtedy być? Coś innego. Na pewno nie spożywczy. Co tam było? . . .

Sklep obuwniczy. Buty, siodła, wyroby skórzane. Tak, to było to. Wyroby Skórzane Doyle'a. Garbowane skóry. Torby podróżne. Barton kupił tam kiedyś pas, prezent dla ojca.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył do sklepu spożywczego. Nad poukładanymi starannie stosami owoców i warzyw krążyły brzęczące muchy. Zakurzone puszki z jedzeniem. Bucząca lodówka z tyłu. Druciany kosz z jajkami.

Otyła kobieta w średnim wieku skinęła uprzejmie do niego.

— Dobry. Czym mogę służyć?

Jej uśmiech był sympatyczny.

— Przepraszam, że panią niepokoję — powiedział ochrypłym głosem Barton. — Kiedyś mieszkałem w tym mieście. Szukam pewnej rzeczy. Pewnego miejsca.

— Miejsca? Jakiego miejsca?

— Sklepu. — Z obawą wypowiadał słowa. — Wyroby Skórzane Doyle'a. Czy ta nazwa coś pani mówi?

Na twarzy kobiety odmalowało się zakłopotanie.

— Gdzie on był? Na ulicy Jeffersona?

— Nie — mruknął Barton. — Nie, tu na Centralnej. Tu, w tym miejscu, gdzie właśnie stoję.

Wyraz zakłopotania na twarzy kobiety przemienił się w strach.

— Nie rozumiem, proszę pana. Mieszkam tu od dziecka. Moja rodzina postawiła ten dom i założyła sklep w 1889 roku. Mieszkam tu całe życie.

Barton wycofał się w kierunku drzwi.

— Rozumiem — rzucił.

Zaniepokojona właścicielka sklepu podążyła za nim.

— Może pomylił pan miejsca. Może chodzi o inne miasto. Jak dawno, powiedział pan. . .

Jej głos zamilkł, kiedy Barton znalazł się na ulicy. Podeszedł do drogowskazu i przeczytał go bezwiednie. Ulica Jeffersona.

A więc to nie była Centralna. Był na złej ulicy. Nagle zabłysła w nim nadzieja. Na pewno pomylił ulice. Sklep Doyle'a był na Centralnej, a to była ulica Jeffersona. Rozejrzał się szybko dookoła. Gdzie może być Centralna? Zaczął biec, najpierw wolno, potem coraz szybciej. Po obu jej stronach stały ponure bary, wające się hotele i sklepy tytoniowe.

Zatrzymał przechodnia.

— Gdzie tu jest ulica Centralna? — rzucił niecierpliwie. — Szukam ulicy Centralnej. Chyba się zgubiłem.

Szczupła, pociągła twarz przechodnia wyrażała podejrzliwość.

— Odejdź pan — powiedział przechodzień i czym prędzej się oddalił. Jakiś pijany włóczęga oparty o spaloną promieniami słonecznymi ścianę baru zaśmiał się głośno.

Barton potknął się ze strachu. Zatrzymał następną osobę, młodą dziewczynę śpieszącą z jakąś paczką pod pachą.

— Centralna! — sapnął. — Gdzie jest ulica Centralna? Dziewczyna oddaliła się szybko, chichocząc. Kilka metrów dalej zatrzymała się i krzyknęła do niego:

— Tu nie ma takiej ulicy!

— Nie ma ulicy Centralnej — mruknęła starsza kobieta, potrząsając głową, kiedy mijala Bartona. Inni potwierdzili to, nie zwalniając nawet kroku.

Pijak zaśmiał się znowu, a potem beknął.

— Nie ma Centralnej — wymamrotał. — Oni wszyscy mówią panu prawdę. Wszyscy wiedzą, że tu nie ma takiej ulicy.

— Musi być — odparł z rozpaczą Barton. — Musi być!

Stanął na wprost domu, w którym się urodził. Tylko że to już nie był ten dom, lecz duży hotel zamiast małego, biało-czerwonego parterowego domku. Poza tym ulica nazywała się nie Sosnowa, lecz Fairmounta.

Podszedł do redakcji gazety. Nie była to już „Millgate Weekly”; teraz nazywała się „Millgate Times”. Nie był to także szary betonowy budynek, lecz pożółkły, chylący się ze starości piętrowy dom z desek i papy. Dawniej musiał to być budynek mieszkalny.

Barton wszedł do środka.

— Czym mogę służyć? — zapytał przyjaźnie młody człowiek siedzący za kontuarem. — Chce pan zamieścić ogłoszenie? — Wyciągnął blok papieru. — Może chodzi o prenumeratę?

— Chodzi mi o informację — odrzekł Barton. — Chciałbym zerknąć do dawnych roczników. Interesuje mnie czerwiec 1926 roku.

Młody człowiek zamrugał. Był sympatycznym grubaskiem w białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem. Miał starannie przycięte paznokcie i równie starannie zaprasowane spodnie.

— Rok 1926? Obawiam się, że wszystko, co ma więcej niż rok, jest. . .

— Niech pan sprawdzi. — Barton zazgrzytał zębami. Rzucił na kontuar dziesięciodolarówkę. — Proszę się pośpieszyć!

Młodzieniec przełknął wymownie ślinę, zawahał się przez moment, a następnie pomknął przez drzwi na zaplecze niczym przestraszony szczur.

Barton usiadł przy stole i zapalił papierosa. Kiedy zgasił niedopałek i przypalał następnego, młodzieniec wrócił; miał zarumienioną twarz i sapał, niosąc masywną księgę.

— Jest — stęknął i położył ją z hukiem na stole, a potem wyprostował się z ulgą. — Czy coś jeszcze chce pan zobaczyć? Tylko. . .

— W porządku — chrząknął Barton.

Trzęsącymi się palcami zaczął przewracać stare pożółkłe stronicę. 16 czerwca 1926 roku. Dzień jego urodzin. Znalazł go, odszukał kolumnę urodzin i zgonów i przebiegł ją wzrokiem w pośpiechu.

Było tam. Czarne drukowane pismo na pożółkłym papierze. Wodził wzdłuż niego palcami i poruszał bezdźwięcznie ustami. Podali imię jego ojca jako Donald, a nie Joe. Także adres był niewłaściwy. Fairmounta 1386, zamiast Sosnowa 1724. Imię matki figurowało jako Sarah, a nie Ruth. Ale najważniejsze było tam. Theodore Barton, 3050 gramów wagi, Szpital Okręgowy. Ale i tu wkradł się błąd. Wszystko było pokręcone, pomieszane.

Zamknął ów rocznik i odniósł go na kontuar.

— Chciałbym jeszcze jeden. Proszę mi przynieść gazety z października 1935 roku.

— Się robi — rzekł młodzieniec.

Nie zwlekając, wyszedł na zaplecze. Po chwili był z powrotem.

Październik 1935 roku. Rok, w którym jego rodzina sprzedała dom i wyjechała razem z nim. Wyjechali do Richmond. Barton usiadł na powrót przy stole i wolno przewracał stronicę. Pod datą 9 października znalazł swoje nazwisko. Szybko przebiegł wzrokiem stronicę. . . Serce mu zamarło. Wszystko znieruchomiało. Poczł nagle, jakby zatrzymał się czas i wszystko zastygło w bezruchu.

PONOWNY ATAK SZKARLATYNY

Drugie dziecko zmarło. Bajoro w wyschniętym korycie rzeczonym zostało zamknięte przez przedstawicieli stanowej służby zdrowia. Theodore Barton, lat 9, syn Donald i Sarah Barton zamieszkałych przy ulicy Fairmounta 1386, zmarł w domu dziś o siódmej rano. Jest to kolejna ofiara, szósta na tym terenie w ciągu. . .

Barton wstał bezwiednie. Nawet nie pamiętał, jak opuścił redakcję; tyle tylko, że znalazł się na skapanej w oślepiającym słońcu ulicy. Mijał ludzi, nie zwracając na nich uwagi. Różne domy. Szedł przed siebie. Skręcił na rogu i minął nieznane sklepy. W pewnym momencie potknął się i omal nie przewrócił jakiegoś mężczyzny, a potem poszedł dalej.

W końcu ocknął się, stanąwszy przed swoim żółtym packardem. Z wirującej wokół niego mgły wynurzyła się Peg i niemal krzyknęła z dziką ulgą:

— Ted! — Podbiegła podekscytowana do niego; widać było jej piersi falujące pod przepoconą bluzką. — Mój Boże, co za pomysł zostawić mnie tutaj i pójść sobie? Mało nie umarłam ze strachu!

Barton wszedł otepiał do samochodu i usiadł za kierownicą. Nic nie mówiąc, włożył kluczyki do stacyjki i włączył silnik.

Peg zajęła miejsce obok niego.

— Ted, co się stało? Jesteś taki błądy. Źle się czujesz?

Wyjechał na ulice. Nie widział ludzi ani samochodów. Packard szybko zwiększył prędkość. Zbyt szybko. Mgliste kształty przemykały po obu stronach.

— Gdzie jedziemy? — zapytała Peg. — Wyjeżdżamy stąd?

— Tak. — Skinął głową. — Wyjeżdżamy.

Peg opadła na fotel z wyraźną ulgą.

— Dzięki Bogu. Jestem szczęśliwa, że wracamy do cywilizacji. — Dotknęła jego ramienia z niepokojem. — Może ja poprowadzę? Może lepiej, żebyś odpoczął. Wyglądasz, jakby stało się coś strasznego. Powiedz, co się stało?

Barton nic nie odrzekł. Nawet jej nie słyszał. Ów nagłówek wciąż tkwił przed jego oczyma: czarny napis na pożółkłym papierze.

PONOWNY ATAK SZKARLATYNY

Drugie dziecko zmarło. . .

Tym drugim dzieckiem był Ted Barton. Nie wyjechał z Millgate 9 października 1935 roku. Zmarł na szkarlatynę. Ale to niemożliwe! Przecież żył. Siedział w swoim packardzie obok brudnej, spoconej żony.

Może nie był Tedem Bartonem.

Fałszywe wspomnienia. Nawet nazwisko, dane personalne. Cała zawartość jego mózgu — wszystko. Podrobione przez kogoś lub coś. Zrozpaczony chwycił mocno kierownicę. Ale jeżeli nie był Tedem Bartonem, t o k i m b y ł?

Sięgnął ręką po swój talizman — kompas. Koszmar, wszystko wirowało wokół niego. Kompas — gdzie on jest? Nawet on znikł. N i e , n i e z n i k ł. Coś było w kieszeni.

Jego ręka wyjęła niewielki kawałek czerstwego chleba. Kawałek suchego chleba zamiast srebrnego kompasu.

3

Peter Trilling kucnął i podniósł glinę pozostawioną przez Mary. Szybko zgniótł jej krowę w bezkształtną masę i zaczął formować na nowo.

Noaks, Dave i Walter patrzyli na niego z pełnym oburzenia niedowierzaniem.

— Kto ci powiedział, że możesz bawić się razem z nami? — rzucił gniewnie Dave.

— To moje podwórko — odpowiedział spokojnie Peter.

Jego gliniana figurka była prawie gotowa. Postawił ją na ziemi obok owcy Dave'a i topornego psa Waltera. Noaks zignorował Petera i jego figurkę, nie przerywając latania swoim samolotem.

— Co to? — rzucił ze złością Walter. — To do niczego niepodobne.

— To człowiek.

— Człowiek! To jest człowiek?

— Idź stąd — powiedział drwiąco Dave. — Jesteś za mały, aby brać udział w tej grze. Zasuway do domu i poproś mamusię o ciastko.

Peter nic nie odpowiedział. Całą uwagę skupił na swoim glinianym człowieczku, który odbijał się w jego ogromnych brązowych oczach o gorącym spojrzeniu. Drobną postać chłopca była zupełnie sztywna: pochylał się do przodu i ledwo widocznie poruszał ustami.

Przez chwilę nic się nie działo. I nagle...

Dave krzyknął i niemal odskoczył w bok. Walter głośno zaklął i zbladł. Noaks przestał bawić się swoim samolotem. Otworzył usta i zamarł.

Mały gliniany człowieczek poruszył się. Najpierw ledwo widocznie, ale zaraz potem energicznie; zrazu poruszył niezdarnie jedną nogą, następnie drugą. Zgiął ręce, obmacał i obejrzał swoje ciało, a potem niespodziewanie pobiegł przed siebie, oddalając się od chłopców.

Peter zaśmiał się przenikliwym, cienkim głosem. Wygiął się sprężysto i złapał uciekającą glinianą postać. Mały człowieczek walczył z Peterem zaciekle, kiedy chłopiec ciągnął go do siebie.

— Ojej — szepnął Dave.

Peter zrolował energicznie glinianą figurkę. Z powrotem zgniótł miękką glinę w bezkształtną bryłę, a następnie rozdzielił ją na dwie części. Szybko, z dużym znamstwem wymodelował dwie podobne figurki, dwóch małych glinianych ludzików o połowę mniejszych od poprzedniego. Postawił je obie na ziemi i w milczeniu odchylił się do tyłu, czekając.

Najpierw poruszył się pierwszy, potem drugi. Wstali, obejrzel ręce i nogi i zaczęli szybko uciekać. Jeden pobiegł w jedną stronę, drugi zawahał się i ruszył za nim, ale po chwili zmienił kierunek na przeciwny i minawszy Noaksa, popędził w stronę ulicy.

— Łapcie go! — rzucił ostro Peter, chwytając pierwszą figurkę. Szybko skoczył na równe nogi i popędził za drugą, która uciekała rozpaczliwie prosto w kierunku furgonetki doktora Meade'a.

Kiedy samochód ruszył, niewielka gliniana figurka wykonała rozpaczliwy skok. Machała zawzięcie rękoma, starając się znaleźć jakiś punkt zaczepienia na

błyszczącym zderzaku. Nie zważając na to, furgonetka włączyła się do ruchu, zostawiając za sobą ową małą postać, wciąż machającą rozpaczliwie, na próżno, rękoma, chcąc wspiąć się i złapać powierzchni, której już nie było.

Peter dogonił ją. Nastąpił na nią nogą i zamienił w bezkształtną bryłę wilgotnej gliny.

Walter, Dave i Noaks podeszli wolno, szerokim łukiem.

— Złapałeś go? — zapytał ochryplym głosem Noaks.

— No pewnie — odpowiedział Peter, zdrapując glinę z buta. Jego twarz była spokojna i gładka. — Oczywiście, że go złapałem. Był chyba mój, no nie?

Chłopcy milczeli. Peter widział, że są przestraszeni. To go zdziwiło. Czego tu się bać? Zaczął do nich mówić, ale w tej samej chwili podjechał, hamując z piskiem, zakurzony żółty packard. Przeniósł nań całą uwagę, zapominając o glinianych figurkach.

Silnik zgasł, terkocząc, i otworzyły się drzwi. Ze środka wyszedł jakiś mężczyzna. Był przystojny i stosunkowo młody; miał kudłate włosy, mocno zarysowane brwi i białe zęby. Wyglądał na steranego. Jego dwurzędowa marynarka była wymięta i poplamiona; miał zdarte buty i przekreślony na jedną stronę krawat. Jego twarz, poorana i wychudła, wyglądała na zmęczoną. Oczy miał spuchnięte i kaprawe. Wolno podszedł do chłopców, z trudem koncentrując na nich wzrok, i zapytał:

— Czy to pensjonat?

Żaden nie odpowiedział. Wiedzieli, że mają do czynienia z nieznajomym. Wszyscy w mieście znali pensjonat pani Trilling; facet był najwyraźniej nietujszy. Żaden z nich nigdy przedtem go nie widział. Mówił z obcym akcentem: przypominało to szybkie, urywane szczekanie, szorstkie i trochę nieprzyjemne.

Peter poruszył się nieznacznie.

— Czego pan chce?

— Szukam miejsca. Pokoju.

Nieznajomy wsadził rękę do kieszeni i wyjął paczkę papierosów i zapalniczkę. Trzęsącą się dłonią przypalił papierosa, który omal nie wypadł mu z rąk. Chłopcy przyglądali się temu ze spokojem i lekkim niesmakiem.

— Pójdę, powiem mamie — powiedział w końcu Peter. Obrócił się plecami do nieznajomego i poszedł w kierunku werandy. Nie oglądając się za siebie, wszedł do chłodnego, pograżonego w półmroku domu; słychać było jego kroki zbliżające się do dużej kuchni, skąd dochodziły odgłosy mycia naczyń.

Pani Trilling spojrzała zirytowana na syna.

— Co chciałeś? Nie waż się ruszać lodówki. Nie dostaniesz nic przed obiadem. Powiedziałam!

— Tam, na zewnątrz, jest jakiś facet — oznajmił Peter. — Chce wynająć pokój. To jakiś nieznajomy.

Mabel Trilling wyraźnie się ożywiła; pośpiesznie wytarła ręce.

— Nie stój tu! — zawołała do Petera. — Idź i poproś go. Jest sam?

— Tylko on.

Mabel Trilling pośpieszyła za swoim synem na werandę, a potem w dół po schodach. Dzięki Bogu, nieznajomy czekał jeszcze. Odmówiła z ulgą kilka słów modlitwy. Ludzie przestali odwiedzać Millgate. Pensjonat był tylko w połowie zamieszkanym; znajdowało się w nim kilku starszków, miejscowy bibliotekarz, pewien urzędnik i jego rodzina.

— Czym mogę służyć? — zapytała.

— Potrzebuję pokoju — oznajmił zmęczonym głosem Barton. — Tylko pokoju. Nie ma znaczenia, jak wygląda i ile kosztuje.

— Chce pan zamówić również posiłki? Jeśli będzie pan jadł razem z nami, zaoszczędzi pan pięćdziesiąt procent tego, co by pan wydał w jadłodajni; poza tym moje posiłki są co najmniej tak dobre jak te wysuszone potrawy, które tam ludziom wciskają, a zwłaszcza przyjeźdnym. Pan jest z Nowego Jorku?

Na twarzy Bartona pojawił się wyraz udreki, który szybko jednak opanował.

— Tak, jestem z Nowego Jorku.

— Mam nadzieję, że Millgate spodoba się panu — powiedziała pani Trilling i skierowała się w stronę domu, wycierając ręce w fartuch. — To ciche, miłe, spokojne miasto. Nic się tu złego nie dzieje. Jest pan tu w interesach, panie. . .

— Ted Barton.

— Jest pan tu w interesach, panie Barton? Przypuszczani, że przybył pan na odpoczynek. Wielu mieszkańców Nowego Jorku opuszcza swoje mieszkania w lecie, prawda? Myślę, że jest tam wtedy nieciekawie. Powie mi pan, co pana tu sprowadza, prawda? Jest pan sam? Nikogo nie ma z panem? — Chwyciła go za rękaw. — Niech pan wejdzie do środka, pokażę panu pokój. Jak długo zamierza pan tu zostać?

Barton ruszył za nią po schodach na werandę.

— Nie wiem. Może tylko dzień. Może trochę więcej.

— Jest pan sam, prawda?

— Moja żona być może dojedzie później, jeśli zostaną tu dłużej. Zostawiłem ją w Martinsville.

— Czym się pan zajmuje? — zapytała pani Trilling, wchodząc po pokrytych wytartym dywanem schodach prowadzących na piętro.

— Ubezpieczeniami.

— To pański pokój. Okna wychodzą na wzgórze. Będzie pan miał piękny widok. Czyż te wzgórza nie są piękne? — Rozsunęła proste białe zasłony, nieco sprane. — Widział pan już kiedyś w swoim życiu takie piękne wzgórza?

— Tak — odpowiedział Barton. — Są ładne. — Przeszedł się bez celu po pokoju, dotykając starego żelaznego łóżka, białego kredensu i obrazka na ścianie. — Jest w porządku. Ile kosztuje?

Pani Trilling spojrzała przebiegle.

— Oczywiście będzie pan jadł z nami. Dwa posiłki dziennie. Lunch i obiad. — Oblizwała usta. — Czterdzieści dolarów.

Barton wsadził rękę do kieszeni po portfel. Wyraźnie nie zamierzał się targować. Wyciągnął kilka banknotów i wręczył je bez słowa.

— Dziękuję panu. — Pani Trilling odetchnęła. Wycofała się szybko z pokoju. — Obiad jest o siódmej. Lunch już jedliśmy, ale jeśli pan chce, mogę. . .

— Nie, dziękuję. — Barton potrząsnął głową. — To wszystko. Nie chce mi się jeść.

Obrócił się do niej plecami i spojrzał na widok za oknem.

Jej kroki umilkły na korytarzu. Barton zapalił papierosa. Czuł się nieszczerze; bolał go brzuch i głowa od zbyt długiej jazdy. Zostawiwszy Peg w hotelu Martinsville, czym prędzej tu wrócił. Musiał tu zostać, nawet na kilka lat, gdyby trzeba było. Musiał się dowiedzieć, kim jest, a to było jedyne miejsce, gdzie mógł tego dokonać.

Uśmiechnął się ironicznie. Nie wyglądało na to, by miał szansę. Jakiś chłopiec zmarł na szkarlatynę osiemnaście lat temu. Nikt tego nie pamiętał. Drobne wydarzenie. Setki dzieci umierały, ludzie rodzili się i odchodzili. Jedna z wielu śmierci...

Drzwi do jego pokoju otworzyły się.

Barton odwrócił się szybko. Stał w nich chłopiec, mały, drobny, z ogromnymi brązowymi oczyma. Barton poznał w nim syna właścicielki pensjonatu.

— Czego chciałeś, chłopcze? — zapytał. — Co to za pomysł, żeby tu przychodzić?

Chłopiec zamknął za sobą drzwi. Przez chwilę się wahał, a potem nagle zapytał:

— Kim pan jest?

Barton zeszywniał.

— Barton. Ted Barton.

Chłopiec wydawał się usatysfakcjonowany. Obszedł Bartona dookoła, oglądając go uważnie.

— Jak pan przeszedł? — zapytał. — Większość ludzi nie przechodzi. Musi być jakiś powód.

— Przeszedł? — powtórzył zaskoczony Barton. — Przez co?

— Przez barierę.

Nagle chłopiec wycofał się; jego błyszczące oczy straciły blask. Barton zrozumiał, że chłopiec wygadał się, że powiedział coś, czego nie zamierzał.

— Jaką barierę? Gdzie? Chłopiec wzruszył ramionami.

— Góry. To daleko. Poza tym droga jest w kiepskim stanie. Po co pan tu przyjechał? Co pan chce robić?

Czy to była zwykła dziecięca ciekawość czy coś więcej? Ten chłopiec wyglądał dziwnie, był chudy, kościsty, miał duże oczy, a jego niezwykle wysokie czoło pokrywał kosmyk kasztanowych włosów. Miał inteligentną twarz. Wyjątkowo wrażliwy, jak na chłopca z małego prowincjonalnego miasta z południa Wirginii.

— Cóż — powiedział wolno Barton. — Mam swoje sposoby.

Reakcja była natychmiastowa. Ciało chłopca naprężyło się. Jego oczy z powrotem zabłyśły nerwowo. Odsunął się od Bartona; wyglądał na zaniepokojonego i zaskoczonego.

— Och, czyżby? — mruknął, ale jego głos zabrzmiał bez przekonania. — A co to za sposoby? Musiał pan przepełznąć przez jakiś słaby punkt.

— Jechałem drogą. Główną.

Olbrzymie brązowe oczy zabłyśły.

— Czasami nie ma tam bariery. Musiał pan przejechać wtedy, kiedy jej nie było.

Barton zaczął czuć się nieswojo. Zablefował i jego blef chwycił. Chłopiec wiedział coś o jakiejś barierze, o której Barton nie miał pojęcia. Owładnęło nim uczucie strachu. Zaczął myśleć o tym i nagle zdał sobie sprawę, że nie widział żadnych samochodów wjeżdżających i wyjeżdżających z Millgate. Droga prowadząca do miasta była zniszczona i nie nadawała się do jazdy. Była zarośnięta zielskiem. Nawierzchnia wysuszona i spękana. Nie było na niej żadnego ruchu. Wokoło znajdowały się wzgórza, pola i wałace się płoty. Może uda mu się dowiedzieć czegoś od tego chłopca.

— Od jak dawna — zapytał z ciekawością w głosie — wiesz o barierze?

Chłopiec wzruszył ramionami.

— Co pan ma na myśli? Zawsze o niej wiedziałem.

— Czy ktoś jeszcze o niej wie?

Chłopiec wybuchnął śmiechem.

— Oczywiście, że nie. Gdyby oni wiedzieli... — Urwał.

Jego olbrzymie brązowe oczy ponownie przestały błyszczeć. Barton z miejsca stracił pewność siebie; chłopiec znowu brał nad nim górę, odpowiadając na pytania, zamiast je zadawać. Wiedział więcej od Bartona i obaj zdawali sobie z tego sprawę.

— Jesteś bystrym chłopcem — powiedział Barton. — Ile masz lat?

— Dziesięć.

— Jak ci na imię?

— Peter.

— Mieszkaś tu od urodzenia? W Millgate?

— No pewnie. — Jego mała klatka piersiowa uniosła się. — A gdzie miałbym mieszkać?

Barton zawahał się.

— Byłeś kiedykolwiek za miastem? Po drugiej stronie bariery?

Chłopiec zmarszczył brwi. Po wyrazie twarzy widać było, że nie wie, co odpowiedzieć. Barton wyczuł, że na coś trafił, Peter zaczął krążyć niespokojnie po pokoju, trzymając ręce w kieszeniach wytartych dżinsów.

— Pewnie — odpowiedział. — Wiele razy.

— Jak przechodzisz?

— Mam swoje sposoby.

— Porównajmy je — rzucił pośpiesznie Barton. Nie miał się czego ucześcić i jego gambit został odparty.

— Niech mi pan pokaże swój zegarek — zaproponował z kolei chłopiec. — Na ilu jest kamieniach?

Barton ostrożnie zdjął z ręki zegarek i podał go chłopcu.

— Na dwudziestu jeden — odpowiedział.

— Ładny. — Peter odwrócił go do góry nogami, potem dookoła Powiódł swoimi delikatnymi palcami po jego powierzchni i oddał Bartonowi. — Czy wszyscy w Nowym Jorku noszą takie zegarki?

— Tylko ci, którzy coś znaczą.

Po chwili ciszy Peter powiedział:

— Mogę zatrzymać czas. Nie na długo... na kilka godzin. Kiedyś dojdę do całego dnia. Co pan na to?

Barton nie wiedział, co o tym sądzić.

— Co jeszcze możesz? — zapytał ostrożnie. — Bo jak na razie, to niedużo.

— Mam władzę nad J e g o stworzeniami.

— Czyimi?

Peter wzruszył ramionami.

— J e g o. Wie pan przecież. Tego po tamtej stronie. Tego z rozchylonymi rękoma. Nie tego z włosami jasnymi jak metal. Tego drugiego. Nie widział go pan?

— Nie, nie widziałem — zaryzykował Barton.

Peter był zaskoczony.

— Musiał pan go widzieć. Musiał pan widzieć ich obu. Są tutaj cały czas. Czasami idę drogą i siadam na mojej skale, skąd ich dobrze widać.

Z trudem znajdując odpowiednie słowa, Barton powiedział po chwili:

— Może zabierzesz mnie kiedyś ze sobą.

— Tam jest ładnie. — Policzki chłopca zarumieniły się, ogarnięty entuzjazmem stracił podejrzliwość. — W ładną pogodę widać ich obu wyraźnie. Szczególnie Jego... na samym końcu. — Zaczął chichotać. — To śmieszne. Na początku się bałem. Ale przyzwyczałem się.

— Czy wiesz, jak się nazywają? — zapytał Barton niepewnie, starając się złapać jakiś cień logiki, coś, czego mógłby się ucześcić, coś, co byłoby zrozumiałe. — Kim oni są?

— Nie wiem. — Twarz Petera zarumieniła się jeszcze bardziej. — Ale kiedyś się dowiem. Musi być jakiś sposób. Pytałem nawet niektóre ze stworzeń wyższego szczebla, ale one też nie wiedzą. Nawet ulepiłem specjalnego golema z odpowiednio dużym mózgiem, ale i on nic mi nie zdołał powiedzieć. Może pan mi w tym pomoże. Umie pan się obchodzić z gliną? Próbował pan kiedyś? — Podszedł do Bartona i dodał ściszym głosem: — Nikt tutaj n i c nie wie. Nikogo to absolutnie nie obchodzi. Muszę działać zupełnie sam. Gdyby ktoś mi pomógł...

— Tak — westchnął ze zrozumieniem Barton. Dobry Boże, w co on wdepnął?

— Chciałbym wytropić jednego z Wędrowców — ciągnął dalej Peter wyraźnie podekscytowany. — Zobaczyć, skąd pochodzą i jak to robią. Gdyby ktoś mi pomógł, może tego także bym się nauczył.

Barton był jak sparaliżowany. O jakich Wędrowcach chłopiec mówi i co oni robią?

— Zgoda. Od kiedy zaczynamy współpracę? — zaczął nieśmiało, ale Peter przerwał mu.

— Niech mi pan pokaże swoją rękę. — Peter wziął Bartona za przegub i dokładnie obejrzał jego dłoń. Nagle cofnął się. Zbladł. — Pan kłamie! Pan nic nie wie! — Wyraz przestachu pokrył jego twarz. — Pan w ogóle nic nie wie!

— Oczywiście, że nie wiem — zapewnił Barton.

Jego głos nie brzmiał jednak przekonująco. Zaskoczenie strach widoczne na twarzy chłopca przeszły w wyraźny niesmak i wrogość, Peter obrócił się i otworzył drzwi na korytarz.

— Nic pan nie wie — powtórzył ze złością i pogardą w głosie. Przerwał na krótko i zaraz dodał: — Ale ja coś wiem.

— Co takiego? — rzucił Barton.

Poszedł na całość; było już za późno, aby się wycofać. — Coś, czego pan nie wie — powiedział chłopiec.

Zagadkowy, tajemniczy uśmiech pojawił się na jego młodej twarzy. Zwodniczy, przebiegły wyraz twarzy.

— Co to? — rzucił chrapliwym głosem Barton. — Co wiesz, czego ja nie wiem?

Odpowiedź była inna, niż oczekiwał. Zanim zdążył zareagować, drzwi zamknęły się z hukiem i usłyszał odgłos oddalających się kroków. Barton stał nieruchomo, wsłuchując się w stukot butów o zdarte stopnie schodów.

Chłopiec wybiegł na werandę. Znalazłszy się pod oknem Bartona, przyłożył ręce do ust, układając je w kształt tuby i krzyknął z całej siły. Z jego ust wydo-

był się przytłumiony, słaby, lecz przenikliwy głos, który zadźwięczał w uszach
Bartona — powtórzenie wcześniej wypowiedzianych w ten sam sposób słów:

— Wiem, kim pan jest. Wiem, kim pan jest n a p r a w d ę!

4

Pewny, że nieznajomy nie idzie za nim, oraz zadowolony z efektu, jaki wywołały jego słowa, Peter Trilling przeszedł przez zwałowisko gruzu za domem. Minał chlew, otworzył bramę na pole, a następnie zamknął ją starannie za sobą i skierował się do stodoły.

Jej wnętrze pachniało sianem i gnojem. Było gorąco i w powietrzu wyraźnie czuć było stęchliznę — wszystko spowijała zasłona brzęczącego popołudniowego upału. Ostrożnie wszedł po drabinie, nie spuszczać z oczu jasno oświetlonego promieniami słonecznymi wejścia. Czuł lekki niepokój, że nieznajomy mógł jednak pójść za nim.

Znalazłszy się na strychu, usadowił się wygodnie w odpowiednim miejscu i czekał przez chwilę, wstrzymując oddech i przebiegając w pamięci minione zdarzenia.

Popełnił błąd. Fatalny błąd. Nieznajomy wiele się od niego dowiedział, podczas gdy on nic. Prawdę powiedziawszy, człowiek ów nie dowiedział się aż tak wiele, pocieszył się. Nieznajomy był pod pewnymi względami zagadką. Peter musiał być ostrożny, śledzić każdy jego krok i nie postępować pochopnie. Ów człowiek mógł się okazać przydatny.

Peter wstał i zdjął lampę wiszącą na zardzewiałym gwoździu, tuż nad swoją głową, w miejscu gdzie krzyżowały się dwie ogromne belki. Jej żółte światło rozpraszało jasnymi smugami panujący na strychu mrok.

Wszystko było dokładnie tak, jak to zostawił ostatnim razem. Nikt tu nigdy nie przychodził; to była jego pracownia. Usiadł na stęchłym sianie i postawił lampę obok siebie. Ostrożnie podniósł pierwszą klatkę.

Małe czerwone oczy szczura zabłyśły zza grubej, splątanej sierści. Szczur poruszył się i cofnął w głąb klatki, kiedy Peter odsunął drzwiczki i sięgnął po niego.

— Chodź — szepnął. — Nie bój się.

Wyciągnął szczura na zewnątrz. Podniósł jego drżące ciało i pogłaskał go. Długie wąsy zafalowały, a jego nigdy nie przestający drgać nos poruszał się jeszcze szybciej, obwąchując palce i rękaw koszuli Petera.

— Teraz nie jest pora jedzenia — powiedział Peter do szczura. — Chcę tylko zobaczyć, jak duży już jesteś.

Po chwili wepchnął szczura do klatki i zamknął druciane drzwiczki. Potem oświetlił lampą następną klatkę kryjącą w swoich wnętrzach drżące szare kształty z czerwonymi oczyma i węszącymi nosami. Były w komplecie. Wszystkie w dobrym stanie, a zwierzęta syte i zdrowe. Rząd za rządem. Klatki poustawiane jedna na drugiej.

Wyprostował się i obejrzał stojące z pajakami ustawione równo na półkach znajdujących się ponad jego głową. Wnętrza słoików były gęsto oplecione pajęczynami przypominającymi zmierzwiłone włosy jakiejś staruszki. Widział pajaki poruszające się leniwie z powodu upału. Tłuste kulki, w których odbijało się światło. Wsadził rękę do pudełka z ćmami i wyjął garść martwych owadów. Wrzucił ich po trochu do każdego słoika, pilnując, aby żaden z pajaków nie uciekł.

Wszystko przebiegało jak należy. Zgasił lampę i powiesił ją powrotem, przez

chwilę nie ruszał się, obserwując wejście do stodoły, a następnie zszedł po drabinie.

Wziął z podręcznego warsztatu szczypce i zajął się przeszkloną skrzynką z węzami. Wszystko przebiegało sprawnie, jak na pierwszy raz. Później, kiedy będzie miał już trochę doświadczenia, zrobi to znacznie szybciej.

Zmierzył obudowę i obliczył wymiary szkła. Gdzie mógłby znaleźć jakieś nikomu niepotrzebne okno? Może w wędzarni, której nie używano od poprzedniej wiosny, kiedy zaczął przeciekać dach. Odłożył ołówek, wziął całówkę i wyszedł ze stodoły na podwórze skapane w oślepiającym blasku światła słonecznego.

Kiedy pędził przez pole, jego serce biło mocniej z podniecenia. Wszystko jak na razie układało się po jego myśli. Stopniowo uzyskiwał przewagę. Oczywiście ów nieznajomy mógł popsuć nie jedno. Peter musiał upewnić się, że tamten nie został skierowany na niewłaściwą stronę. Jak bardzo znacząca była jego obecność, tego jeszcze nie wiedział. Na razie domyślał się niewiele.

Ale co on robił w Millgate? Petera ogarnęły wątpliwości. Na pewno jest tu z jakiegoś powodu. Ted Barton. Musiał to zbadać. Jeśli zajdzie potrzeba, będzie go można zneutralizować. Ale może by się udało wprowadzić go na...

Coś zabręczało. Peter krzyknął i rzucił się w bok. Nieznośny ból przeszył jego szyję oraz ramię. Peter toczył się po rozgrzanej trawie, krzycząc i machając rękoma na oślep. Ogarnął go paniczny strach; najchętniej zagrzebałby się w ziemi.

Brzęczenie umilkło. Ustało całkowicie. Słychać było tylko odgłos wiatru. Peter był sam.

Drżąc ze strachu, wolno podniósł głowę i niepewnie otworzył oczy. Był w szoku i cały się trząsł. Szyja i ramię piekły go strasznie; pszczoły użądliły go w dwóch miejscach.

Dzięki Bogu, działały same... Nie zorganizowane.

Wstał, chwiejąc się na nogach. Był sam. Zaklął srodze. Jak mógł popełnić takie głupstwo, wychodząc w ten sposób na otwartą przestrzeń. Co by było, gdyby dopadł go cały rój, a nie dwie!

Zapomniał o szkle okiennym i wrócił do stodoły. To było ostrzeżenie. Następnym razem może nie pójść tak łatwo. Nie udało mu się ich zabić i obie odleciały. Przekazą jej wiadomość i będzie teraz wiedziała, będzie miała powód do radości. Łatwe zwycięstwo. Będzie się cieszyła.

Zdobywał przewagę, ale nie czuł się bezpieczny. Jeszcze nie teraz. Wciąż musiał zachowywać czujność. Mógł przeszarżować i w ciągu sekundy stracić wszystko, co do tej pory osiągnął. Z własnej winy.

Co gorsza... potrafił Szale wagi, które grzechotały niczym padające kostki domina. To wszystko było tak powiązane...

Zaczął rozglądać się za jakimś bajorem, aby błotem pokryć użądłone miejsce.

— Co się stało, panie Barton. — Usłyszał wesoły głos blisko ucha. — Kłopoty z zatokami? Większość ludzi, którzy tak się trzymają za nosy, ma kłopoty z zatokami.

Barton wyprostował się. Prawie zasnął nad talerzem. Jego kawa wystygła i zmętniała, a szybko wysychające, maziste ziemniaki pokryły się twardą skorupką.

— Słucham? — mruknął.

Mężczyzna siedzący z boku odsunął krzesło i wytarł usta serwetką. Był w średnim wieku, otyły i dobrze ubrany; garnitur w drobne prążki, biała koszula, na szyi elegancki krawat, a na grubym białym palcu masywny sygnet.

— Nazywam się Meade. Ernest Meade. Chodzi o to, jak trzymał pan głowę. — Uśmiechnął się ze znawstwem, szczerząc złote zęby. — Jestem lekarzem. Mogę w czymś pomóc?

— Jestem po prostu zmęczony — powiedział Barton.

— Przyjechał pan niedawno, prawda? To dobre miejsce. Jadam tu czasami, kiedy nie chce mi się gotować samemu. Pani Trilling nie ma nic przeciwko obsłużeniu mnie, prawda, pani Trilling?

Siedząca po drugiej stronie stołu kobieta skinęła głową na potwierdzenie. Jej twarz straciła już część opuchlizny; o zmierzchu pyłek kwiatowy nie dociera tak daleko. Większość pensjonariuszy odeszła od stołu na osłoniętą siatką werandę, aby przed snem posiedzieć trochę w chłodnym mroku.

— Co pana sprowadza do Millgate, panie Barton? — zapytał uprzejmie lekarz. Zanurzył rękę w kieszeni płaszcza i wyjął brązowe cygaro. — Niewielu ludzi tędy przejeżdża. To w ogóle dziwne. Kiedyś był tu duży ruch, ale od pewnego momentu zupełnie ustał. Właściwie to jest pan pierwszym człowiekiem, który tu zawitał od dłuższego czasu.

Barton zastanowił się nad tą informacją. Wyraźnie się ożywił pod jej wpływem. Meade był lekarzem. Może coś wiedział. Barton skończył pić kawę i zapytał ostrożnie:

— Długo pan tu leczy, doktorze?

— Całe życie. — Meade wykonał nieznaczny gest kciukiem. — Mam tu własny szpital na szczycie wzniesienia. Nazywamy go Dom Cieni. — Ściszył głos. — Miasto nie zapewnia ze swojej strony opieki lekarskiej. Staram się pomagać ludziom najlepiej, jak umiem. Zbudowałem szpital i prowadzę go na własny koszt.

— Kiedyś mieszkali tu moi krewni — powiedział Barton, starannie dobierając słowa. — Dawno temu.

— Barton? — Meade zamyślił się. — Jak dawno temu?

— Osiemnaście, dwadzieścia lat. — Obserwując okazałą twarz doktora, z której emanowało znawstwo, Barton dodał: — Donald i Sarah Barton. Mieli syna. Urodził się w 1926 roku.

— Syna? — Meade spojrział z zainteresowaniem. — Chyba coś sobie przypominam. W dwudziestym szóstym? Pewnie go przyjmowałem na świat. Już wtedy leczyłem. Oczywiście byłem dużo młodszy. Wszyscy byliśmy młodszy.

— Ten chłopiec zmarł — powiedział wolno Barton. — Zmarł w 1935 roku. Na szkarlatynę. Od zakażonego bajora.

Twarz doktora skrzywiła się.

— Och, Boże. Przypominam sobie. Tak, pamiętam, że kazałem je ogrodzić; to był mój pomysł. Zmusiłem ich, aby je ogrodzili. To byli pańscy kuzyni? Ten chłopiec był z panem spokrewniony? — Pykał nerwowo cygaro. — Przypominam to sobie. Troje czy czworo dzieci zmarło, zanim odgrodzono tę sadzawkę. Chłopiec nazywał się Barton? Chyba sobie przypominam. Spowinowacony z panem, powiada pan? — Zamyślił się. — Mieli jedno dziecko. Rozkoszny chłopiec. Miał włosy takie jak pan i w ogóle podobną fizjonomię. Teraz rozumiem, dlaczego cały czas wydawało mi się, że skądś pana znam.

Barton wstrzymał oddech z wrażenia.

— Przypomina pan sobie? — Pochylił się bliżej doktora. — Widział pan, jak umarł?

— Widziałem śmierć ich wszystkich. To było jeszcze przed zbudowaniem Domu Cieni. Tak, z całą pewnością, w starym szpitalu okręgowym. Jezu, co za wstrętne miejsce. Nic dziwnego, że zmarli. Brudne, zaniedbane. To z tego powodu zbudowałem mój szpital. — Potrząsnął głową. — Dzisiaj uratowalibyśmy ich wszystkich. Bez trudu. Teraz już za późno, aby o tym mówić. — Dotknął ramienia Bartona. — Przykro mi. Ale pan też miał wtedy niewiele lat, prawda? Jakie było między wami pokrewieństwo?

Dobre pytanie, pomyślał Barton. Sam chciałby to wiedzieć.

— Kiedy tak o tym myślę — powiedział doktor Meade, jakby do siebie — wydaje mi się, że tamten chłopiec nosił to samo imię. Nie ma pan przypadkiem na imię Theodore?

— Mam — przytaknął Barton.

Krzaczaste brwi doktora zmarszczyły się, nadając jego twarzy wyraz zakłopotania.

— Takie samo jak pańskie. Cały czas wiedziałem, że już gdzieś je słyszałem, kiedy pani Trilling mi je podała.

Barton chwycił rękoma za brzeg stołu.

— Doktorze — powiedział — czy on jest pochowany w mieście? Czy jego grób jest tutaj?

— Oczywiście — przytaknął wolno doktor. — Na cmentarzu miejskim. — Spojrzał badawczo na Bartona. — Chce pan odwiedzić mogiłę? Nie ma problemu. Czy po to pan tu przybył? Odwiedzić jego grób?

— Niezupełnie — odpowiedział Barton.

Po przeciwnej stronie stołu siedział obok swojej matki Peter Trilling. Jego szyja była spuchnięta i piekła go. Prawe ramię miał zabandażowane kawałkiem brudnej gazy. Miał ponurą minę i był wyraźnie niezadowolony. Wypadek? Coś go ugryzło? Barton widział, jak chude palce chłopca szarpią kawałek chleba. Wiem, kim pan jest, słyszał krzyk chłopca. W i e m, kim pan jest naprawdę. Wiedział naprawdę czy to tylko jego przechwałki? Zarozumiała pogróżka bez pokrycia i znaczenia?

— Niech pan posłucha — powiedział doktor Meade. — Nie zamierzam wtrącać się w pańskie sprawy; to by było nie w porządku. Ale widzę, że coś pana gnębi. Pan nie przyjechał tu na odpoczynek.

— Tak, to prawda — odrzekł Barton.

— Nie chce mi pan powiedzieć, o co chodzi? Jestem starszy od pana. I mieszkam tutaj od bardzo dawna. Urodziłem się i wychowałem w tym mieście. Znam tu każdego. Wielu przyjąłem na świat.

Czy to był właściwy człowiek? Może przyjaciel?

— Panie doktorze — powiedział wolno Barton — ten chłopiec, który wtedy umarł, jest ze mną związany. Ale sam nie wiem jak. — Potarł czoło, masując je. — Nie rozumiem tego. Muszę wyjaśnić, jaki jest między nami związek.

— Dlaczego?

— Nie mogę panu tego powiedzieć.

Doktor wyjął srebrną wykałaczkę z maleńkiego grawerowanego pudełka i w zamyśleniu zaczął dłużyć w zębach.

— Był pan w redakcji? — zapytał. — Nat Tate z pewnością mógłby panu

pomóc. Stare zapiski, zdjęcia, gazety. Także na posterunku mógłby pan znaleźć sporo informacji. Podatki, długi, grzywny. W rzeczy samej, jeśli chce pan ustalić związek z tym chłopcem, najlepiej byłoby udać się do sądu.

— To, co mnie interesuje, to Millgate. Sąd mnie nie interesuje. — Barton zamilkł i po chwili dodał: — To ma związek z całym miastem. Nie tylko z Tedem Bartonem. Muszę dowiedzieć się o wszystkim. — Powiódł ręką wokoło. — To się jakoś ze sobą łączy. Z Tedem Bartonem również. Innym Tedem Bartonem, ma się rozumieć.

Doktor Meade zamyślił się. Nagle schował wykałaczkę i wstał.

— Chodźmy na werandę. Z panną James pan się jeszcze nie zapoznał, prawda?

Coś jakby szarpnęło Bartona. Znużenie nagle minęło i szybko podniósł wzrok.

— Znam to nazwisko. Już je kiedyś słyszałem.

Doktor Meade przyglądał mu się jakoś dziwnie.

— Możliwe — zgodził się. — Siedziała podczas obiadu trochę z boku, naprzeciwko nas. — Przytrzymał drzwi. — Jest bibliotekarką; wie wszystko o Millgate.

Na werandzie panował półmrok. Barton potrzebował kilku minut, aby się do niego przyzwyczaić. Kilka osób siedziało w kręgu na staromodnych krzesłach i sofie. Jedni palili, inni drzemali, rozkoszując się wieczornym chłodem. Weranda była zabezpieczona przed owadami siatką, dzięki czemu żaden nie mógł wlecieć do środka i spiec się na żarówce emanującej w rogu nikłym światłem.

— Panno James — odezwał się doktor Meade — to jest pan Ted Barton. Może będzie pani mogła mu pomóc. Ma pewne problemy.

Panna James uśmiechnęła się do Bartona zza swoich grubych szkielec.

— Miło mi pana poznać — powiedziała miłym, miękkim głosem. — Jest pan tutaj nowy, prawda?

Barton przysiadł na oparciu sofie.

— Przyjechałem z Nowego Jorku — odrzekł.

— Jest pan pierwszym człowiekiem, który tu zawitał od wielu lat — powiedział doktor Meade, obserwując Bartona. Wypuścił duży obłok dymu, który wolno rozprzestrzenił się po werandzie. Słaba czerwona poświata od cygara rozjaśniła nieco panujący na niej półmrok. — Droga jest praktycznie w rozsypce; nikt nią nie jeździ. Codziennie widzimy te same twarze. Ale mamy swoje zajęcia; ja prowadzę szpital. Lubię poznawać nowe rzeczy, eksperymentować, w ogóle pracować z moimi pacjentami. Mam około dziesięciu chorych wymagających stałej opieki. Co jakiś czas pomagają nam różne kobiety z miasta. Obecnie jest tam bardzo przyjemnie.

— Czy wiadomo pani coś o jakiejś... barierze? — Barton zapytał niespodziewanie pannę James.

— Barrierze? — zdziwił się doktor Meade. — Jakiej barrierze?

— Nigdy państwo o niej nie słyszeli?

Doktor Meade zaprzeczył, wolno kręcąc głową.

— Nie, o żadnej barrierze nie słyszałem — dodał.

— Ani ja — zawtórowała panna James. — W związku z czym ta bariera?

Nikt ich nie słuchał. Pani Trilling, pozostali pensjonariusze, Peter, córka doktora Meade'a i kilku sąsiadów drzemali lub szeptali do siebie na drugim końcu werandy.

— Co państwo wiedzą o synu pani Trilling? — zapytał Barton.

Meade chrząknął.
— Jest dość zdrowy — powiedział.
— Badał go pan?
— Oczywiście — odrzekł doktor Meade lekko zaniepokojony. — Badałem wszystkich w tym mieście. Peter ma wysoki iloraz inteligencji i sprawia wrażenie energicznego. Dużo czasu spędza sam. Prawdę powiedziawszy, nie przepadam za zbyt wcześnie dojrzałymi dziećmi.
— Ale on w ogóle nie interesuje się książkami — sprzeciwiła się panna James.
— Nigdy nie przychodzi do biblioteki.
Barton milczał przez chwilę, a potem zapytał:
— Co by państwo powiedzieli, gdyby państwo usłyszeli: „Ten po tamtej stronie. Ten z rozłożonymi rękoma”. Czy to coś państwu mówi?
Panna James i doktor Meade zrobili zakłopotane miny.
— To brzmi jak jakaś gra — mruknął doktor Meade.
— Nie — odpowiedział Barton. — To nie gra. W porządku, zapomnijmy o tym. Nieważne.
Panna James pochyliła się w jego stronę.
— Panie Barton, może się mylę, ale odnoszę wrażenie, że pan uważa, iż coś tu jest nie tak. Coś ważnego, co ma związek z Millgate. Mam rację?
Barton skrzywił usta.
— Coś tu się dzieje. Poza ludzką świadomością.
— Tutaj? W Millgate?
Słowa z trudem przedzierały się przez usta Bartona.
— Muszę to wyjaśnić. Nie mogę tego tak zostawić. Ktoś w mieście musi o tym wiedzieć. Nie możecie tak siedzieć i udawać, że jest dobrze! Jest tu w mieście ktoś, kto wie wszystko.
— Wie o czym? — rzucił grzmiącym głosem zaskoczony doktor Meade.
— O m n i e.
Słowa Bartona wstrząsnęły doktorem Meade’em i panią James.
— Co chce pan przez to powiedzieć? — wyjąkała panna James. — Czy jest tu ktoś, kto pana zna?
— Tutaj jest ktoś, kto wie wszystko. W i e d l a c z e g o i j a k; coś, czego ja nie rozumiem. Coś złowieszczonego i obcego. A wy siedzicie tu sobie spokojnie, jak gdyby nigdy nic. — Barton wstał nagle. — Przepraszam. Jestem zmęczony. Zobaczmy się jeszcze później.
— Dokąd pan idzie? — rzucił doktor Meade.
— Do mojego pokoju. Zdrzemnąć się.
— Niech pan zaczeka, panie Barton. Dam panu kilka tabletek fenobarbitalu. One uspokoją pańskie nerwy. A jeśli będzie pan chciał, proszę mnie odwiedzić w szpitalu. Przebadam pana. Wydaje mi się, że przeżywa pan jakiś silny stres. W pańskim wieku to trochę...
— Panie Barton — wtrąciła się panna James, mówiąc z uśmiechem na twarzy, łagodnym, ale stanowczym głosem. — Zapewniam pana, że nic dziwnego nie dzieje się w Millgate. I żałuję, że tak nie jest. To najbardziej typowe ze wszystkich miast. Gdyby działa się tu cokolwiek godnego uwagi, na pewno pierwsza bym o tym wiedziała.
Barton otworzył usta, chcąc jej odpowiedzieć, ale nie wydobył z siebie ani

słowa. Uwięzły mu w gardle. To, co zobaczył, sprawiło, że w ogóle o nich zapomniał.

Dwie sylwetki świecące słabym blaskiem wynurzyły się z końca werandy. Byli to mężczyzna i kobieta idący obok siebie, trzymając się za ręce. Widać było, że rozmawiają ze sobą, lecz nie było słycać żadnego głosu. Szli bezszelestnie przez werandę w kierunku przeciwległej ściany. Przeszli pół metra obok Bartona; widział wyraźnie ich twarze. Byli młodzi. Kobieta miała jasne blond włosy skręcone w grube warkocze opadające na plecy, długą pociągłą twarz i jasną gładką skórę. Namietne usta i białe zęby. Mężczyzna idący obok niej był równie przystojny.

Żadne z nich nie zwróciło uwagi na Bartona i innych. Mieli zamknięte oczy. Przeszli przez krzesła, sofę i spoczywających na niej pensjonariuszy. Następnie przez doktora Meade'a, pannę James i ścianę. I zniknęli. Dwie świecące słabym światłem sylwetki zniknęły równie szybko, jak się pojawiły. Bezszelestnie.

— Dobry Boże — przemówił w końcu Barton. — Widzieli ich państwo? — Nikt się nie poruszył. Kilku pensjonariuszy przerwało nagle swoje rozmowy, ale po chwili wrócili do nich, jak gdyby nic się nie stało. — Widzieli ich państwo? — zapytał zdziwiony.

Panna James była zdezorientowana.

— Oczywiście — mruknęła. — Wszyscy ich widzieliśmy. Co wieczór tędy przechodzą. Spacerują. Sympatyczna para, nie uważa pan?

— Ale... kto... co... — rzucił Barton, z trudem łapiąc oddech.

— Pierwszy raz widział pan Wędrowców? — zapytał Meade. — Chce pan powiedzieć, że tam, skąd pan przyjechał, ich nie ma?

— Nie ma — rzekł Barton. Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. — Kim oni są? Przeszli p r z e z ściany. Przez meble. I przez was!

— Zgadza się — potwierdziła panna James. — Dlatego nazywamy ich Wędrowcami. Chodzą, któredy im się spodoba. Przechodzą przez wszystko. Nie widział pan?

— Od jak dawna to trwa? — zapytał Barton.

Odpowiedź wcale go nie zaskoczyła; zaskoczył go spokój, z jakim mu jej udzielono.

— Od zawsze — odpowiedziała panna James. — Są tu, jak daleko sięgamy pamięcią.

— Wydaje mi się, że Wędrowcy byli zawsze — przytaknął doktor Meade, pykając cygaro. — To zupełnie naturalne. Co w tym dziwnego?

5

Ranek był cichy i słoneczny. Trawę pokrywała rosa. Niebo miało łagodny mglistoniebieski kolor; było jeszcze nie rozgrzane do oślepiającego blasku, co nastąpi, kiedy słońce dojdzie do zenitu. Lekki wietrzyk szeleścił liśćmi cedrów rosnących na zboczu wzgórza za ogromnym kamiennym budynkiem. Cedry rzucały plamy cieni; od nich to pochodziła właśnie nazwa Dom Cieni.

Z Domu Cieni miasto widać było jak na dłoni. Do miejsca, gdzie wznosił się ów budynek, prowadziła kręta droga. Cały otaczający go teren był starannie utrzymany: kwiaty i drzewa oraz długie drewniane ogrodzenie otaczające teren w kształcie prostokąta. Wewnątrz spacerowali pacjenci, część siedziała na ławkach i krzesłach, jeszcze inni leżeli wprost na trawie i odpoczywali. Czuło się wyraźnie panujący tu spokój. Gdzieś w głębi szpitala pracował doktor Meade. Zapewne w swoim gabinecie, zagraconym mikroskopem, szkiełkami, kliszami rentgenowskimi i odczynnikami chemicznymi.

Mary kucnęła w niewidocznym wgłębieniu znajdującym się za rzędem cedrów. Stamtąd wybierano kruszywo na podłóżę, kiedy budowano Dom Cieni. Tam, gdzie siedziała, nie było jej widać z budynku. Cedry i hałda skał i ziemi ograniczały pole widzenia. Pod nią, z trzech stron rozciągała się dolina, a za nią łańcuch niebieskozielonych gór zasnutych mglistą bielą. Milczących, majestatycznych.

— Mów — rozkazała Mary.

Przesunęła się trochę i usadowiła wygodnie na podkurczonych nogach. Słuchała z zainteresowaniem, starając się nie uronić ani słowa.

— To był czysty przypadek — mówiła pszczoła, głosem cichym i ledwie słyszalnym w podmuchach porannego wiatru szeleszczącego liśćmi cedru. Siedziała na płatkach kwiatu tuż przy uchu Mary. — Byłyśmy tam na zwiadzie. Nie widziałyśmy, jak się tam znalazł. Nagle zobaczyłyśmy go i z miejsca zaatakowałyśmy. Żałuje, że nie było nas tam więcej; rzadko zapuszcza się tak daleko. Przekroczył granicę.

Mary pogrążyła się w głębokim zamyśleniu. Jej czarne, gęste, opadające na szyję włosy połyskiwały w słońcu. Oczy błyskały, kiedy mówiła.

— Czy potrafisz powiedzieć, co on tam robił?

— Nie bardzo. Wywołał jakąś interferencję wokół całego miejsca. Nie możemy się zbytnio tam zbliżyć. Musimy opierać się na wtórnych informacjach. Nie sprawdzonych, jak wiesz.

— Myślisz, że gromadzi jednostki obronne? Czy...

— Gorzej. Wygląda na to, że przygotowuje jawną wojnę. Wykonał szereg pojemników. Różnej wielkości. Jest w tym jakaś ironia. Nasi zwiadowcy, którzy tam polecili, zginęli w strefie interferencji. Zebrał ich ciała i używa ich na pokarm. To go bawi.

Mary bezwiednie wyciągnęła nogę i rozdeptała idącego ku niej pająka ziemnego.

— Wiem — powiedziała. — Kiedy przerwałam wczoraj zabawę, ulepił z mojej gliny golem. To zły znak. Pewnie czuje, że zdobywa przewagę. W przeciw-

nym razie nie posługiwałyby się moją gliną. Wie, czym to grozi. Glina stosowana przez kogoś innego jest niepewna. Musiałam chyba zostawić na niej jakiś ślad.

— To chyba prawda, że ma nieznaczną przewagę — powiedziała pszczoła. — Jest niezmordowany. Niemniej wpadł w popłoch, kiedy go zaatakowałyśmy. Nadal można go dopaść i zranić. I on wie o tym.

Mary urwała źdźbło trawy i w zamyśleniu zaczęła je żuć.

— Jego oba golemy próbowały uciec. Jeden był już nawet bardzo blisko. Biegł prosto do mnie, kiedy siedziałam w furgonetce, ale nie zdążył.

— Kim jest ten człowiek? — zapytała pszczoła. — Ten facet z zewnątrz. Jest jedyny w swoim rodzaju; przeszedł przez barierę. Myślisz, że on jest imitacją? Jakąś projekcją, czynnikiem zewnętrznym? Jak dotąd nie wygląda, aby wywołał jakieś zmiany.

Mary uniosła swoje ciemne oczy.

— Nie. Jeszcze nie — powiedziała. — Ale sądzę, że wywoła.

— Naprawdę?

— Jestem tego pewna. Gdyby...

— Gdyby co? — zapytała z ciekawością pszczoła.

Mary zignorowała to pytanie. Była głęboko zamyślona.

— Jest w osobliwej sytuacji — mruknęła. — Już zapoznał się z faktem, że jego wspomnienia nie zgadzają się z tym, co tu zastał.

— Nie zgadzają się?

— Oczywiście, że nie. Jest świadomy zasadniczych zmian. Właściwie pamięta inne miasto z zupełnie innymi mieszkańcami. — Zabiła jeszcze jednego małego pajaka, który skradał się ostrożnie. Przez chwilę oglądała jego martwe ciało i dodała: — On jest tego rodzaju człowiekiem, który nie będzie zadowolony, dopóki nie zrozumie, o co tu chodzi.

— On gmatwa całą sytuację — pożałowała się pszczoła.

— Komu? Mnie? — Mary wstała wolno i strzepnęła trawę z dżinsów. — Raczej Peterowi. Miał tak wiele planów.

Pszczoła uniosła się z liścia i wylądowała na kołnierzyku koszuli Mary.

— Pewnie będzie próbował dowiedzieć się czegoś od tego faceta — powiedziała.

Mary zaśmiała się.

— Pewnie, że będzie chciał — zgodziła się. — Tylko że on niewiele się od niego dowie. Jest zbyt skołowany i niepewny.

— Mimo to Peter będzie próbował. Jest niezmordowany, o czym świadczą jego dążenia do poznania wszystkiego. Niemal jak pszczoła.

— Tak, jest niezmordowany — przytaknęła Mary, idąc w górę zbocza w kierunku cedrów — ale jednocześnie zbyt pewny siebie. Może stracić czujność i źle skończyć. Starając się uzyskać jak najwięcej informacji, może doprowadzić do tego, że ten facet sam więcej odkryje. Sądzę, że tamten jest sprytny. I co najważniejsze, musi się dowiedzieć wszystkiego o sobie. Przypuszczam, że będzie górą; chyba o to w tym chodzi.

Barton upewnił się, że nikogo nie ma wokoło. Stanął obok staromodnego telefonu tak, żeby widzieć cały korytarz, a także wszystkie drzwi i schody po przeciwnej stronie; następnie wrzucił do aparatu dziesięciocentówkę.

— Numer, proszę. — Usłyszał cienki głos w słuchawce.
Poprosił o połączenie z hotelem Calhoun w Martinsville. Po wrzuceniu trzech kolejnych dziesięciocentówek, serii „klików” i próśb o zaczekanie usłyszał brzęczący sygnał.
— Hotel Calhoun — odezwał się odległy głos zaspanego mężczyzny wolno cedzącego słowa.
— Chciałbym rozmawiać z panią Barton. Z pokoju 204.
Kolejna przerwa. Kilka następnych „klików”. A potem...
— Ted! — Usłyszał głos Peg przesiąknięty niecierpliwością i niepokojem. — To ty?
— Tak, to ja. Tak przypuszczam.
— Gdzie jesteś? Na miłość boską, chcesz mnie tu zostawić, w tym straszliwym hotelu? — Jej głos stał się histeryczny. — Ted, mam już dosyć. Już mam tego powyżej uszu. Zabrałeś samochód. Nic nie mogę zrobić, nie mogę się nigdzie ruszyć. Zachowujesz się jak wariat!
Barton powiedział stłumionym głosem, przyciskając mikrofon do ust: — Próbowałem ci wyjaśnić. To miasto. Jest inne, niż je pamiętałem. Podejrzewam, że ktoś manipuluje moim umysłem. Przekonało mnie o tym coś, co znalazłem w gazetach — że nawet moja osoba nie jest...
— Dobry Boże — przerwała mu Peg. — Nie mamy czasu na wyjaśnianie twoich dziecinnych iluzji! Jak długo zamierzasz to robić?
— Nie wiem — odrzekł bezradnie Barton. — Tak wiele jeszcze nie rozumiem. Gdybym wiedział więcej, mógłbym ci powiedzieć.
Zapadła chwila ciszy.
— Ted — powiedziała stanowczym głosem Peg — jeśli nie wrócisz tu w ciągu dwudziestu czterech godzin i nie zabierzesz mnie stąd, rzucę cię. Mam dosyć pieniędzy, aby wrócić do Waszyngtonu. Wiesz, że mam tam przyjaciół. Nie zobaczysz mnie już nigdy więcej, chyba że w sądzie.
— Mówisz poważnie?
— Tak.
Barton oblizał wargi końcem języka.
— Peg, muszę tu zostać. Dowiedziałem się już trochę rzeczy. Jeszcze niezbyt dużo, ale już trochę. Wystarczająco, by wiedzieć, że jestem na właściwej drodze. Jeśli zostanę odpowiednio długo, będę mógł wyjaśnić wszystko. Działają tu jakieś siły; siły, które nie ograniczają się do...
Barton usłyszał nagle krótkie „klik”. Peg rozłączyła się.
Powiesił słuchawkę. Czuł pustkę w głowie. Odszedł od telefonu i bezwiednie ruszył przed siebie, z rękoma w kieszeniach. Cóż, to było właśnie to, czego się obawiał. Wiedział, że robi, jak powiedziała. Jeśli on nie pojedzie do Martinsville, to potem już jej tam nie zastanie.
Jakaś niewielka postać wynurzyła się zza stołu i paproci.
— Halo — powiedział spokojnie Peter.
Bawił się jakąś poruszającą się kępką — czarnymi kulkami, które pełzły od góry po jego rękach.
— Co to? — zapytał z niesmakiem Barton.
— To? — Peter zamrugał. — Pająki. — Złapał je i wsadził do kieszeni. — Wybiera się pan gdzieś samochodem? Pomyślałem, że mógłbym zabrać się razem z panem.

Ten chłopiec był tu cały czas. Ukryty za paprocią. To dziwne, że Barton go nie zauważył; wszak przechodził obok doniczki, idąc do telefonu.

— Po co? — zapytał Barton.

Chłopiec zaniepokoił się. Spojrzał na Bartona z nadzieją.

— Zdecydowałem się pokazać panu moją kryjówkę.

— Och? — westchnął Barton, starając się nie okazywać zdziwienia, mimo iż serce zabiło mu mocniej. Pomyślał, że może będzie mógł dowiedzieć się jeszcze czegoś. — Czemu nie — rzucił. — Jak to daleko?

— Niedaleko — odrzekł Peter i ruszył pędem w kierunku drzwi wejściowych. — Pokażę panu drogę — dodał.

Barton, nie spiesząc się, poszedł za nim. Na werandzie z przodu domu nie było nikogo. Stały tam tylko brudnobrązowe i bardzo stare krzesła i sofy. Ten widok przyprawił go o dreszcz, kiedy przypomniał sobie, jak ubiegłej nocy przeszli tędy dwaj Wędrowcy. Dotknął na próbę ściany werandy. Była normalna. A mimo to dwoje młodych ludzi przeszło przez nią, przez krzesła i odpoczywających pensjonariuszy.

Czy mogli przejść przez niego?

— Niech się pan pośpieszy! — krzyknął Peter. Stał obok żółtego packarda, ciągnąc niecierpliwie za klamkę.

Barton usiadł za kierownicą, chłopiec zaś obok niego. Kiedy uruchamiał silnik, zauważył, że chłopiec starannie sprawdza zagłębienia w samochodzie, podnosi nakrycia siedzeń i zagląda pod nie.

— Czego szukasz? — zapytał zdziwiony Barton.

— Pszczół — odpowiedział, sapiąc, Peter. — Możemy mieć zamknięte okna? Mogą wlecieć w czasie jazdy.

Barton zwolnił hamulec i samochód wolno zjechał na główną ulicę.

— O co chodzi z tymi pszczołami? Boisz się ich? Nie boisz się pajaków, a boisz się pszczoł?

W odpowiedzi Peter dotknął swojej wciąż piekającej szyi.

— Niech pan skręci w prawo — polecił. Usiadł wygodnie w fotelu, wyprostował nogi i wsadził ręce do kieszeni. — Niech pan okrąży ulicę Jeffersona i pojedzie do tyłu.

Z kryjówki Petera widać było jak na dłoni całą dolinę i otaczające ją wzgórza. Barton usiadł na skalistej ziemi i wyjął paczkę papierosów. Wciągnął głęboko powietrze. Kryjówkę częściowo zaciaśniały rosnące obok krzaki i drzewa. Było w niej chłodno i cicho i widziało się całą dolinę. Słońce świeciło przez grubą powłokę niebieskiej mgiełki spowijającej odległe szczyty. Nic się nie ruszało. Pola, farmy, drogi i domy — wszystko było pogrążone w bezruchu.

Peter przykucnął obok Bartona. — Ładnie tu, co? — powiedział.

— No.

— O czym rozmawiał pan wczoraj wieczorem z doktorem Meade'em? Nie słyszałem.

— Może to nie twoja sprawa.

Chłopiec zarumienił się i zrobił ponurą minę.

— Nie cierpię go, tych jego śmierdzących cygar i srebrnej wykałaczki.

Wyjął z kieszeni kilka pajaków i puścił je na swojej ręce. Barton odsunął się trochę na bok, udając, że nie zwraca na to uwagi.

— Może mi pan dać papierosa? — odezwał się po chwili Peter.

— Nie.

Chłopcu zrzędała mina.

— Niech panu będzie — powiedział po chwili, robiąc z powrotem zadowoloną minę. — Co pan sądzi o tych dwóch Wędrowcach wczoraj wieczorem? To było coś, prawda?

— Hm... czy ja wiem — odrzekł Barton. — Widuje się je często.

— Bardzo chciałbym wiedzieć, jak oni to robią — powiedział z pasją Peter.

Nagle pożałował, że zdradził swoje emocje. Zgarnął pajaki i strząsnął je na zbocze. Odpełzły podniecone, a Peter udawał, że je obserwuje.

Bartona uderzyła pewna myśl.

— Nie boisz się tutaj pszczoł? Gdyby jakaś tu przyleciała, nie miałbyś gdzie się ukryć.

Peter zaśmiał się z pewnością siebie.

— Pszczoły nie przylatują tutaj — oświadczył. — To za daleko.

— Za daleko?

— Tak — potwierdził z wyższością w głosie Peter. — To jest chyba najbezpieczniejsze miejsce na świecie.

Barton nic nie rozumiał z tego, co mówił chłopiec. Po krótkiej przerwie zauważył:

— Ta mgiełka jest dzisiaj stosunkowo gęsta.

— Co jest gęste?

— Ta mgiełka. — Barton wskazał niebieskie obłoki na tle odległych szczytów. — To od tego upału.

Wzgarda na twarzy Petera wzrosła jeszcze bardziej.

— To nie żadna mgiełka — powiedział. — To O n!

— Co? — rzucił zaskoczony Barton. Chyba w końcu na coś trafił... żeby tylko nie spłoszyć. — Co masz na myśli?

— Nie widzi go pan? — zdumiał się Peter, wskazując ręką. — Jest bardzo duży. Stąd go najlepiej widać. Jest stary. Jest starszy niż wszystko razem wzięte. Starszy od tego świata.

Barton nic nie widział. Nic poza mgiełką, górami i błękitnym niebem. Peter wsadził rękę do kieszeni i wyjął z niej coś, co wyglądało jak szkło powiększające w niklowanej oprawce. Podał je Bartonowi. Barton obejrzał je, nie bardzo wiedząc, co z nim zrobić. Chciał już je oddać Peterowi, ale chłopiec go powstrzymał.

— Niech pan przez nie spojrzy! — powiedział. — Na góry! Barton zrobił, jak mu powiedział Peter. I nagle zobaczył to.

Owo szkło było swego rodzaju filtrem. Eliminowało mgiełkę, sprawiało, że cały obraz był jasny i ostry.

Z początku źle to ocenił. Myślał, że On jest fragmentem tego widoku. On był tym widokiem. Był przeciwległą częścią tego świata. Skrajem doliny, górami, niebem — wszystkim. Cała odległa strona wszechświata wznosiła się do góry jak gigantyczna kolumna, koszmarna wieża istnienia, która nabrała kształtu, kiedy skierował tam soczewkę-filtr.

To był najwyraźniej mężczyzna. Jego stopy były zagłębione w dolinie; przeciwległa strona doliny była jego stopą. Barton nie mógł powiedzieć, czy Jego

nogi są górami czy odwrotnie. Dwie kolumny wznosiły się obok siebie do góry, szerokie i masywne. Mocno usadowione. Jego ciało było niebieskoszarą mgłą lub czymś, co wyglądało jak mgła. Ogromny tułów zaczynał się tam, gdzie góry łączyły się z niebem.

Ręce miał rozłożone nad doliną. Były zawieszony w powietrzu nad jej przeciwległą połową. Tkwiły w jakiejś matowej zasłonie, którą Barton pomyłkowo wziął za pył i mgłę. Ogromna postać była pochylona lekko do przodu, jak gdyby schylała się w jakimś celu nad swoją częścią, swoją połową doliny; patrzyła w dół. Jej twarz była zamglona. Cała postać była nieruchoma; całkowicie nieruchoma.

Nieruchoma, ale żywa. Nie jakiś kamienny wizerunek, martwy posąg. Ów mężczyzna był żywy, lecz jednocześnie znajdował się poza czasem. Nie było widać żadnej zmiany w jego położeniu, żadnego ruchu z jego strony. Był wieczny. Jego odwrócona głowa stanowiła najbardziej uderzającą część postaci. Wyglądała, jakby płonęła, jak jakieś kuliste ciało niebieskie pulsujące życiem i światłem.

Jego głowa była słońcem.

— Jak on się nazywa? — zapytał po chwili Barton.

Raz zobaczywszy tę postać, Barton widział ją już stale. Jak w tych grach, kiedy nie można pozbyć się widoku ukrytego kształtu, skoro się go raz dostrzeże.

— Już mówiłem, że nie wiem tego — odpowiedział z niezadowoleniem Peter. — Może ona wie. Ona prawdopodobnie zna oba ich imiona. Gdybym znał jego imię, mógłbym zawładnąć nim. Na pewno mógłbym. On jest tym, którego nie lubię. Jednak z t y m nie mam problemów. Dlatego właśnie zrobiłem sobie kryjówkę po tej stronie.

— Z t y m? — powtórzył zdziwiony Barton.

Obrócił głowę i spojrzał w górę przez mały krążek szkła.

Poczuł się trochę nieswojo, stwierdziwszy, że był częścią tego drugiego. Podczas gdy pierwsza postać była odległą częścią doliny, druga była tą częścią. I Barton właśnie siedział w t e j części.

Owa druga postać wznosiła się wokół niego. Nie widział jej wyraźnie, czuł ją jedynie w pewien sposób. Otaczała go ze wszystkich stron. Wyrastała ze skał, pól, gąszczy krzaków i winorośli. Jak tamta, była utworzona z doliny i gór, nieba i mgły. Lecz nie świeciła jak ona. Nie widział jej głowy, jej najbardziej oddalonych części. Przebiegł go zimny dreszcz. Miał jakieś niejasne, trudno uchwytnie przecucie. Ta postać nie była zwieńczona słońcem. Kończyła się czymś innym.

Ciemnością?

Wstał niepewnie.

— Mam już dosyć — powiedział. — Wracam.

Skierował się w dół zbocza. Cóż, sam o to prosił. Wciąż trzymał w ręce szkło powiększające Petera. Rzucił je w stronę kryjówki i poszedł dalej ku dolinie.

Bez względu na to, gdzie był, siedział, stał, spał lub spacerował, jak długo był w dolinie, tak długo był częścią jednego lub drugiego. Mógł przechodzić z jednego do drugiego, ale zawsze pozostawał w którymś z nich. Przez środek doliny przebiegała granica. Znajdując się po którejś z jej stron, stawał się częścią jednej z postaci.

— Gdzie pan idzie? — krzyknął Peter.

— Na zewnątrz.

Twarc Petera przybrała złowieszczy wyraz.

— Nie może pan wyjść na zewnątrz. Nie może pan stąd wyjechać.

— Dlaczego nie mogę?

— Przekona się pan.

Barton zignorował jego słowa i poszedł dalej w dół zbocza, w kierunku drogi i swojego samochodu.

6

Skierował packarda w górę drogi, oddalając się od Millgate. Ponad nim i pod nim wznosiły się gęsto rosnące cedry i sosny. Droga była wąską nitką przecinającą las. Stan jej pozostawiał wiele do życzenia. Barton jechał ostrożnie, omijając wszelkie pułapki. Nawierzchnia była splekana, pełna krzyżujących się rys i szczelin. Wyrastały z nich różne chwasty. Zielsko i trawa. Nikt wtedy nie jeździł. To było oczywiste.

Wykonał ostry zakręt i gwałtownie zahamował. Samochód zatrzymał się z piśkiem opon.

Była tam. Rozciągała się w poprzek drogi tuż przed nim. Ten widok niemal go obezwładnił. Jechał drogą trzy razy — raz wyjeżdżał i dwa razy wjeżdżał — i nic tu przedtem nie było. A teraz było. W końcu pojawiła się, gdy tylko zdecydował się wyjechać i zapomnieć o tym wszystkim, wrócić do Peg i dalej spędzać wakacje, jak gdyby nic się nie stało.

Mógł się spodziewać czegoś niezwykłego. Czegoś ogromnego i makabrycznego; jakiejś złowrogiej ściany, tajemniczej, kosmicznej. Jakiejś ponadziemskiej struktury blokującej drogę.

Mylił się. Była to po prostu ciężarówka. Starodawna ciężarówka na żelaznych kołach i bez skrzyni biegów. Z przodu miała okrągłe reflektory. Jej ładunek leżał rozrzucony w poprzek drogi. Mocujące druty pękły i ciężarówka utkwiała w miejscu przechylona na bok i otoczona rozrzuconymi na wszystkie strony okrągłakami.

Barton wyszedł zrezygnowany z samochodu. Wokół panowała cisza. Gdzieś w oddali zaryczała krowa. Cedry szeleściły. Zbliżył się do morza okrągłaków ze sterczącą w środku archaiczną wyspą. Niezła bariera. Żaden samochód nie miał szans wtedy przejechać. Porozrzucane kłody leżały wszędzie i były dość duże. J Niektóre się spiętrzyły, jedna na drugiej, tworząc niebezpieczną, chwiejną stertę splecionych pni mogących w każdej chwili j rozsunąć się i stoczyć na bok. Poza tym droga była stroma.

Oczywiście w ciężarówce nie było nikogo. Jeden Bóg wie, jak długo się tu znajdowała i jak często coś takiego się zdarzało. Najwyraźniej był to wypadek losowy. Zapalił papierosa i zdjął płaszcz; zaczynało robić się gorąco. Jak tu przez to przejechać? Poprzednio nie było tego problemu, tym razem wyglądało jednak na to, że ta bariera go nie przepuści.

Może uda mu się ją obejść.

Strome zbocze z jednej strony nie wchodziło w ogóle w rachubę. W żaden sposób nie uda mu się pokonać tego prawie prostopadłego wzniesienia. Gdyby poślizgnął się na gładkiej skale, zsunąłby się w sam środek tej sterty bali. Może z drugiej strony? Między drogą a opadającym zboczem był rów. Gdyby udało mu się przezeń przedostać, mógłby z łatwością przeleźć po pochyłych sosnach, wspinając się z jednej na drugą, minąć blokadę z okrągłaków i przeskoczywszy rów, znaleźć się po drugiej stronie drogi.

Jedno spojrzenie na rów zakończyło spekulacje. Barton zamknął oczy i zamarł w bezruchu.

Rów nie był szeroki. Mógłby go przeskoczyć, gdyby nie to, że... był on bez dna. Barton stanął nad bezdenną czeluścią. Cofnął się nieco od brzegu; jego oddech stał się szybki i nerwowy. W palcach zaciskał kurczowo papierosa. Rów opadał bez końca. Było to jak patrzenie w bezkresne niebo, nie kończąca się przepaść przechodząca w złowrogi chaos.

W końcu przestał myśleć o rowie i z powrotem skierował swoją uwagę na porozrzucane bale. Żaden samochód nie miał szansy przedostać się tędy, niemniej jednak człowiekowi mogłoby się to udać. Gdyby przeszedł połowę drogi, mógłby dostać się na ciężarówkę, usiąść w kabinie i odpocząć. Można by to rozłożyć na dwa etapy.

Z nadzieją podszedł do bali. Pierwsza kłoda nie była taka straszna, raczej mała i leżała dość stabilnie. Wszedł na nią, złapał się rękoma i przeskoczył na następną. Całość zakołysała się pod nim niebezpiecznie. Barton szybko przedostał się na następny bal i przywarł do niego. Jak na razie szło dobrze. Kolejny był dość duży, stary, wysuszony i popekany. Sterczał pod ostrym kątem, spoczywając na trzech innych. Wyglądały jak porozrzucane zapalki.

Skoczył. Kłoda pękła i Barton z trudem rzucił się z powrotem. Rozpaczliwie starał się złapać za cokolwiek, lecz palce ześlizgiwały się i upadł do tyłu. Zaparł się mocno, starając się podciągnąć i wyjść na wierzch.

Udało mu się.

Sapiąc i z trudem łapiąc oddech, Barton rozciągnął się na kłodzie, czując przyływ ulgi. W końcu zdołał usiąść. Gdyby udało mu się przedostać jeszcze trochę do przodu, mógłby złapać się ciężarówkę i wciągnąć na nią. Miałby już połowę drogi z głowy. Mógłby odpocząć...

Był tak samo daleko jak przedtem. Nie przybliżył się ani o krok. Przez chwilę zwątpił w swoje zmysły, lecz szybko zaczął rozumieć. Te bale były labiryntem. Stracił orientację i pomylił kierunek. Zatoczył dokładnie koło.

Do diabła z wyjeżdżaniem stąd. Pragnął teraz tylko dostać się do samochodu. Wrócić tam, skąd przyjechał. Zewsząd dokoła otaczały go bale; ich końce wystawały z bezwładnego stosu niczym świńskie ryje. Dobry Boże, chyba nie wchodził aż tak daleko? Czy to możliwe, że zagrzebał się tak głęboko? Był wiele metrów od brzegu stosu; z całą pewnością nie przepelzł aż tak daleko.

Zaczął przesuwac się dookoła, chcąc wrócić tą samą drogą, którą tam dotarł. Bale kotływały się i przechylały niebezpiecznie pod nim. Strach sprawił, że stał się nerwowy. Zwolnił niechcący uścisk i spadł między dwa bale. W ciągu ułamka sekundy znalazł się pod spodem, w jakiejś mrocznej jaskini, gdzie nie docierały promienie słoneczne. Zaparł się z całej siły, starając się wydostać na powierzchnię. Jedna z belek ustąpiła. Szybko wygramolił się z powrotem, wynurzył na oświetloną promieniami słonecznymi powierzchnię i rozciągnął jak długi, sapiąc i trzęsąc się.

Leżał tak przez dłuższą chwilę. Zupełnie stracił poczucie czasu. Następną rzeczą, która dotarła do jego świadomości, był głos mówiący do niego.

— Panie Barton! Panie Barton! Słyszysz mnie pan?

Z trudem podniósł głowę. Na drodze, za stertą bali stał Peter Trilling. Podparł się pod boki i szczyrzył zęby w uśmiechu. Jego opalona twarz błyszczała w słońcu. Nie wyglądał na zaniepokojonego. Właściwie sprawiał wrażenie zadowolonego.

— Pomóż mi — westchnął Barton.

— Co pan tam robi?

— Chciałem przejść na drugą stronę — powiedział Barton, siadając. — Jak mam teraz, do cholery, wrócić?

Nagle dostrzegł coś. Zbliżał się wieczór, choć powinien być środek dnia. Słońce zniżyło się do odległych wierzchołków wzgórz — gigantycznej postaci, która wznosiła się po przeciwnej stronie doliny. Spojrzał na zegarek. Była osiemnasta trzydzieści. Spędził siedem godzin na tej stercie bali.

— Nie powinien był pan przechodzić na drugą stronę — powiedział Peter, zbliżając się ostrożnie. — Jeśli oni nie chcą, aby pan stąd wyjechał, to nie powinien pan próbować.

— Ale jakoś tu wjechałem!

— Widocznie tego chcieli. I teraz nie chcą, aby pan wyjechał. Lepiej niech pan będzie ostrożny. Mógł pan tam utknąć na zawsze i umrzeć z głodu.

Petera wyraźnie bawiła ta sytuacja. Po chwili jednak wskoczył zgrabnie na pierwszy z brzegu okrągłak i podszedł do Bartona.

Barton wstał niepewnie. Był zdrowo przestraszony. To jego pierwsze spotkanie z siłami, które działają w tej dolinie. Z wdzięcznością uchwycił drobną dłoń Petera i pozwolił się wyprowadzić z tego labiryntu. Co najdziwniejsze, trwało to kilka sekund.

— Dzięki Bogu. — Wytrzeł pot z czoła i podniósł płaszcz z miejsca, gdzie go rzucił. Czuł, że powietrze zaczyna się już oziębiać; w ogóle robiło się chłodno i późno. — Na razie nie będę próbował.

— Lepiej niech pan n i g d y już nie próbuje — powiedział spokojnie Peter. Coś w głosie chłopca sprawiło, że głowa Bartona nagle się uniosła.

— Co masz na myśli?

— Tylko to, co powiedziałem. Był pan tam siedem godzin. — Peter uśmiechnął się szeroko, robiąc zagadkową minę. — To ja pana tam trzymałem. Zablockowałem pana w czasie.

Barton wolno przyswoił sobie tę informację.

— To była twoja robota? Ale w końcu wydostałeś mnie stamtąd.

— Oczywiście — przyznał ochotczo Peter. — Potrzymałem tam pana, a potem wydostałem na zewnątrz. Kiedy to mi się już znudziło. Chciałem, żeby pan wiedział, kto tu jest szefem.

Nastała długa chwila milczenia. Chłopiec uśmiechnął się pewny siebie. Był wyraźnie zadowolony. Rzeczywiście wykonał kawał solidnej roboty.

— Obserwowałem pana z mojej kryjówki — wyjaśnił. — Wiedziałem, dokąd pan chce się udać. Domyśliłem się, że będzie pan chciał przejść na drugą stronę. — Jego klatka piersiowa wyraźnie unosiła się, kiedy mówił. — Nikt poza mną tego nie potrafi. Jestem jedyny. Mam swoje sposoby.

— Zamilcz — rzucił Barton.

Minął chłopca i wskoczył do packarda. Kiedy zapalił silnik i zwolnił hamulec, dostrzegł, że wyrażający pewność siebie uśmiech niknie z twarzy Petera. Nim zawrócił i skierował się w stronę Millgate, ów uśmiech przeszedł w wyraz niezadowolenia.

— Nie zabierze mnie pan ze sobą? — zapytał Peter, podbiegając do okna. Jego twarz była biała ze złości. — Tam na dole wzgórze jest mnóstwo ciem trupich główek. Już prawie noc!

— Trudno — odparł Barton i ruszył w dół drogi.

Peter był wściekły. Został z tyłu; był wolno niknącą kolumną gwałtownej nienawiści.

Barton oblał się potem. Może popełnił błąd. Było mu cholernie niewygodnie w owym labiryncie bali; pętał w kółko niczym karaluch w szklance wody. Ten dzieciak ma duże możliwości i w swoim szaleństwie może z nich korzystać. Najważniejsze z tego wszystkiego jest to, że Ted Barton był skazany na pobyt tu bez względu na to, czy mu się to podobało czy nie.

A więc wszystko rozegra się w ciągu najbliższych dni.

Millgate wolno niknęło w ponurym mroku, kiedy Barton wjechał na ulicę Jeffersona. Większość sklepów była zamknięta. Drogerie, sklepy z towarami żelaznymi, nie kończące się kafejki i tanie bary.

Zaparkował przed klubem Magnolia, walącą się speluną mogącą rozsypać się w każdej chwili. Kilku podejrzanych, podchmielonych typów kręciło się przed wejściem. Mieli zarośnięte twarze i poruszali się niezdarnie; patrzyli na niego przenikliwie zaczerwienionymi oczyma, kiedy zamykał packarda i wchodził przez wahadłowe drzwi do baru.

W środku znajdowało się zaledwie kilka osób. Stoliki były puste, a na ich blatach poustawiano do góry nogami krzesła. Usiadł na końcu baru, z dala od innych i zamówił trzy burbony, jeden po drugim.

Miał kompletny zamęt w głowie. Przyjechał tu normalnie, a teraz nie może się stąd wydostać. Tkwi tu, uwięziony w środku doliny przez stos okrągłaków. Jak długo one już tam leżą? Dobry Boże, a jeżeli zostaną tam na zawsze? A cóż powiedzieć O kosmicznym wrogu, tym, który manipuluje wspomnieniami, i Peterze, ziemskim przeciwniku wrzuconym tu jakby na dokładkę?

Burbony uspokoiły go nieco. Owa kosmiczna siła potrzebowała go w jakimś celu. Może miał wyjaśnić, kim jest. Może to wszystko zostało zaplanowane, jego przyjazd tu — powrót do Millgate po tylu latach. Może każdy ruch, wszystko, co do tej pory zrobił, całe jego życie...

Zamówił nową kolejkę burbona; miał nad czym myśleć. Do środka weszło kilku mężczyzn. Byli przygarbieni i mieli na sobie skórzane kurtki. Usiedli zadumani nad piwami. Nie rozmawiali ani się nie poruszali. Wyglądało, że zamierzali spędzić tak cały wieczór. Barton zignorował ich i skoncentrował się na swoich drinkach.

Przymierzał się do przełknięcia szóstego burbona, kiedy uświadomił sobie, że ktoś go obserwuje. Udał, że tego nie widzi. Dobry Boże, czyż nie miał już dość kłopotów?

Obserwujący go mężczyzna obrócił się na stołku. Stary pijak o ponurej twarzy. Wysoki i przygarbiony. Ubrany w stary, porwany płaszcz, brudne spodnie i szczałki butów. Miał duże, ciemne ręce z pokiereszowanymi palcami. Gapił się przepitymi oczyma na Bartona, śledząc każdy jego ruch. Nie przestał, nawet wtedy, kiedy Barton rzucił mu gniewne spojrzenie.

Nieznajomy wstał i podszedł chwiejnym krokiem do Bartona, który zapał się w oparciu stołka. Spodziewał się, że nieznajomy będzie próbował naciągnąć go na drinka. Ten zaś, westchnąwszy, usiadł na stołku obok i założył ręce na piersi.

— Cześć — chrząknął, chuchnąwszy alkoholycznym wyziewem w stronę Bar-

tona. Odgarnął przetłuszczone, rzadkie, jasne włosy znad błękitnych oczu i powiedział: — Jak się pan ma?

— Czego pan chce? — odrzekł ostro Barton mocno zdenerwowany.

— Zadowolę się szkocką z wodą.

Barton był wyraźnie zaskoczony. — Słuchaj no, kochany — zaczął, lecz nieznajomy przerwał mu, mówiąc łagodnie:

— Przypuszczam, że pan mnie sobie nie przypomina.

Barton zamrugał.

— Czy przypominam sobie?

— Biegł pan ulicą. Wczoraj. Szukał pan ulicy Centralnej.

Po tych słowach Barton sobie przypomniał. To był ten pijak, który się wtedy śmiał.

— Och, tak — powiedział wolno. Nieznajomy wyraźnie się ożywił.

— A jednak przypomina pan mnie sobie. — Wyciągnął w kierunku Bartona pokrytą bliznami rękę. — Nazywam się Christopher. William Christopher — powtórzył. — Jestem z pochodzenia Szwedem.

Barton nie podał mu ręki.

— Niepotrzebne mi pańskie towarzystwo — powiedział.

Christopher uśmiechnął się, szczerząc zęby.

— Wierzę, ale może kiedy dostanę szkocką z wodą, będzie to już dla mnie dość i pójdę sobie.

Barton skinął na barmana.

— Szkocka z wodą — mruknął. — Dla niego.

— No i co, znalazł pan Centralną? — zapytał Christopher.

— Nie.

Christopher zachichotał piskliwie.

— Wcale mnie to nie dziwi. Mógłbym to panu powiedzieć.

— Powiedział już pan.

Barman podał zamówionego drinka i Christopher podziękował z zadowoleniem.

— Dobrze — zauważył, wypiwszy spory łyk, a potem, wciągnąwszy głęboko powietrze, dodał: — Nie jest pan stąd, prawda?

— Zgadł pan.

— Co pana sprowadziło do Millgate? Takiego małego miasta. Nikt tu nigdy nie przyjeżdża.

Barton wolno uniósł głowę.

— Przyjechałem tutaj odnaleźć siebie.

Z jakiegoś powodu wydało się to Christopherowi śmieszne. Zapiszczał głośnym, przenikliwym śmiechem, aż inni siedzący przy barze spojrzeli na nich z irytacją.

— Co pana ugryzło? — zapytał ze złością Barton. — Co w tym takiego śmiesznego, do cholery?

Christopher uspokoił się.

— Odnaleźć siebie? Ma pan już coś? Pozna pan siebie, kiedy pan siebie odnajdzie? Jak pan wygląda? — Ponownie mimo woli wybuchnął śmiechem.

Barton opadł ciężko na stołku i pochylił się przygnębiony nad swoją szklanką.

— Niech pan zamilknie — mruknął. — Mam i tak dosyć kłopotów.

— Kłopotów? Jakich kłopotów?

— Tego wszystkiego. Wszystkiego na tym świecie. — Burbon zaczął już działać. — Jezu Chryste, równie dobrze mógłbym nie żyć. Najpierw odkryłem, że nie żyję, że nigdy nie dorosłem. . .

Christopher potrząsnął głową.

— Fatalnie — rzucił.

— Potem tych dwoje ludzi, którzy przeszli przez werandę.

— Wędrowcy. Tak, z początku są niesamowici. Ale można się do tego przyzwyczaić.

— Potem ten cholerny gówniarz szukający wszędzie pszczoł. Następnie ta postać wysoka na sto kilometrów, którą mi pokazał. Z głową jak żarówka.

Wyraz twarzy Christophera nagle się zmienił. Jakby błysk rozjaśnił maskę notorycznego pijaka. Poczucie świadomości.

— Co? — zapytał. — O jakiej postaci pan mówi?

— Największej, jaką kiedykolwiek widziałem. — Barton wykonał gwałtowny gest. — Wysokiej na milion kilometrów. Zasłaniającej światło słoneczne. Składającej się ze światła.

Christopher wolno wysączył swojego drinka.

— Co jeszcze się panu przytrafiło, panie. . .

— Barton. Ted Barton. Potem spadłem z kłody.

— Co takiego?

— Przewróciłem się na okrągłaku. — Barton pochylił się do przodu zrezygnowany. — Błądziłem w stosie bali przez siedem godzin. Potem ten chłopiec wyciągnął mnie stamtąd. — Wytarł oczy zewnętrzną częścią dłoni. — I jak dotąd nie znalazłem ulicy Centralnej. Ani Sosnowej. — Jego głos przybrał odcień rozpacz. — Szlag by to trafił! U r o d z i ł e m s i ę przecież na ulicy Sosnowej! To miejsce musi gdzieś być!

Przez chwilę Christopher nic nie powiedział. Skończył pić drinka, obrócił szklanek dnem do góry, zakręcił nią w zamyśleniu i pchnął w bok.

— Nie, nie znajdzie pan ulicy Sosnowej — oznajmił. — Ani Centralnej. Nigdy już.

Słowa te przeszły Bartona. Wyprostował się, jego mózg ogarnął chłód mimo sporej zawartości alkoholu.

— Co ma pan na myśli, mówiąc „nigdy już”? — zapytał.

— Nie ma ich już od lat. — Stary człowiek przetarł swoje pomarszczone czoło. — Już od dawna nie słyszałem, aby ktokolwiek mówił o tych ulicach. — Jego niebieskie jak u dziecka oczy spoglądały przenikliwie na Bartona. Christopher starał się skoncentrować mimo zasłony z whisky i czasu. — To zabawne usłyszeć te nazwy znowu. Prawie już o nich zapominałem. Wie pan, panie Barton, coś tu z pewnością nie gra.

— O, tak — zgodził się Barton. — Coś tu nie gra. T y l k o c o ?

Christopher ponownie potarł swoje pomarszczone czoło, jak gdyby starał się zebrać myśli.

— Nie wiem — odparł. — Coś wielkiego. — Rozejrzał się konfidencjonalnie dookoła. — Może zwariowałem. Ulica Sosnowa była przyjemnym miejscem. Znacznie przyjemniejszym niż Fairmounta. Tak się teraz nazywa. Fairmounta. Stoją tam inne domy. Nie jest to ta sama ulica. Nikt nie pamięta Sosnowej. — Łzy napłynęły mu do oczu, więc je wytarł. — Nikt jej nie pamięta poza nami dwoma. Nikt na świecie. C o m a m y , d o c h o l e r y , z r o b i ć?

7

Barton oddychał szybko.

— Niech pan mnie posłucha — wyrzucił z siebie. — Niech pan przestanie jęczeć i posłucha.

Christopher wzruszył ramionami.

— Tak. Przepraszam, panie Barton. To wszystko... Barton chwycił go za ramię.

— Więc ona tu była, tak jak ją pamiętam. Ulica Sosnowa. I Centralna. I ten stary park. Więc moje wspomnienia nie są fałszywe?!

Christopher wytarł oczy brudną chusteczką.

— Tak, ten stary park. Pamięta go pan? Dobry Boże, co się tu stało? — Twarz Christophera przybrała niezdrowy żółty odcień. — Co się z nimi stało? Dlaczego oni nic nie pamiętają? — Ogarnął go strach. — To nie ci sami ludzie. Ci poprzedni zniknęli, tak jak i tamte miejsca. Wszyscy poza panem i mną.

— Ja wyjechałem — powiedział Barton. — Kiedy miałem dziewięć lat. — Zerwał się nagle na równe nogi. — Chodźmy stąd. Gdzie moglibyśmy swobodnie porozmawiać?

Christopher ogarnął się.

— U mnie — powiedział. — Tam możemy swobodnie porozmawiać.

Zeskoczył ze stolka i ruszył w kierunku drzwi. Barton podążył za nim.

Na ulicy było zimno i ciemno. Rzadkie lampy uliczne oświetlały ją w nieregularnych odstępach. Kilka osób szło wzdłuż niej; byli to głównie mężczyźni przechodzący z baru do baru.

Christopher skręcił w boczną uliczkę. Barton z trudem dotrzymywał mu kroku.

— Czekałem na to osiemnaście lat — westchnął Christopher. — Myślałem, że jestem stuknięty. Nikomu o tym nie mówiłem. Bałem się. Przez wszystkie te lata... a to była jednak prawda.

— Kiedy dokonała się ta zmiana?

— Osiemnaście lat temu.

— Stopniowo?

— Nagle. W ciągu jednej nocy. Obudziłem się i stwierdziłem, że wszystko jest inne. Nie wiedziałem, co jest grane. Zostałem tu i się ukryłem. Myślałem, że zwariowałem.

— Nikt więcej tego nie zauważył?

— Wszyscy zniknęli!

Barton był zdumiony.

— Ma pan na myśli...

— Jak mogli zauważyć, skoro sami zniknęli? Wszystko było zmienione, nawet ludzie. Pojawiło się zupełnie nowe miasto.

— Wie pan coś o barierze?

— Wiem, że nikt nie może przez nią przejść ani w tę, ani w tamtą stronę. Coś blokuje drogę. Ale tych tu nic nie obchodzi. Z nimi też jest coś nie tak.

— Kto to są ci Wędrowcy? — zapytał Barton.

— Nie wiem.

— Kiedy się pojawili? Przed Zmianą?

— Nie. Po Zmianie. Nigdy przedtem ich nie widziałem. Każdy w mieście uważa ich za coś normalnego.

— Kim są ci dwaj giganci?

Christopher potrząsnął głową.

— Nie wiem. Kiedyś wydawało mi się, że coś widzę. Szedłem akurat w górę drogi, chcąc się stąd wydostać. Musiałem zrezygnować, ponieważ drogę zagrażdzała stara rozkraczona ciężarówka z okrągłakami.

— To właśnie bariera.

Christopher zaklął.

— Dobry Boże! To było tyle lat temu! I ona wciąż tam tkwi. . .

Minęli kilka budynków. Wokół panowała ciemność. Widać było tylko zarysy domów. Gdzieś palilo się światło. Domy niemalże waliły się ze starości. Barton z rosnącym zdziwieniem stwierdził, jak bardzo były zniszczone; nie przypominał sobie, aby ta część miasta była tak zrujnowana.

— Wszystko wygląda gorzej! — powiedział.

— Zgadza się. Przed Zmianą nie było tu tak źle. W rzeczy samej, wyglądało nie najgorzej. Mieszkałem w przyjemnym trzypokojowym domku, który sam zbudowałem. Był zrobiony elegancko. Obudziłem się wtedy rano i w czym się znalazłem? — Christopher zatrzymał się i pogmerał ręką w kieszeni. — W jakiejś wielkiej skrzyni. To nic więcej niż skrzynia. Bez fundamentu. Pamiętam dobrze, jak go wylewałem. Zajęło mi to cały tydzień. A teraz przed progiem błoto.

Znalazł klucz i namacał w ciemności klamkę. Obejrzał się podejrzliwie wokoło, mrużąc coś i klnąc. W końcu drzwi otworzyły się ze zgrzytem i weszli kolejno do środka.

Christopher zapalił lampę naftową.

— Brak elektryczności — powiedział. — Co pan o tym sądzi? Po tym wszystkim, co zrobiłem. Mówię panu, panie Barton, za tym wszystkim kryją się moce diabelskie. Tak ciężko pracowałem. Wszystko, co miałem, co zrobiłem, zniknęło w ciągu jednej nocy. Teraz nie mam już nic. Nigdy przedtem nie piłem. Kapujesz pan. Ani kropli.

To była szopa, nic więcej. Pojedyncze pomieszczenie. W jednym końcu stał piec i zlew, a w drugim łóżko. Wszędzie wałały się jakieś graty. Brudne talerze, stare opakowania, pudełka po jedzeniu, torebki ze skorupkami jajek i śmieciami, czerstwy chleb, stare gazety i czasopisma, brudne ubranie, puste butelki i stare, zniszczone meble ścieśnione w kącie. I jakieś kable.

— Tak — powiedział Christopher. — Przez osiemnaście lat próbowałem z powrotem podłączyć to cholerne miejsce. — Na jego twarzy pojawił się strach wyrażający beznadziejność. — Byłem kiedyś świetnym elektrykiem. Naprawiałem radia. Prowadziłem nawet niewielki sklep radiowy.

— Pamiętam — powiedział Barton. — Sprzedaż i naprawa Willa.

— Już go nie ma. Zniknął bez śladu. Jest tam teraz ręczna pralnia. Na ulicy Jeffersona, jak się ona teraz nazywa. Partaczą tam strasznie. Niszczą koszule. Nic nie zostało z mojego sklepu radiowego. Obudziłem się wtedy rano i poszedłem jak zwykle do pracy. Od początku czułem, że coś jest nie tak. Doszedłem do mojego sklepu i znalazłem tam pralnię. Parowe żelazka i prasownice do spodni.

Barton podniósł ręczną baterię anodową. Szczypce, lut, lutownica, pasta, lu-

tol, generator sygnałowy, lampy radiowe, kondensatory, oporniki, schematy — wszystko.

— Mówi pan, że nie można doprowadzić elektryczności? — zapytał.

— Próbuje. — Christopher zdenerwowany spojrzął na swoje ręce. — Nie umiem już. Wszystko mi się myli. Łamię rzeczy. Wszystko leci mi z rąk. Zapominam, co robię. Mylę przewody. Nadeptuję na narzędzia i łamię je.

— Dlaczego?

Oczy Christophera zabłysły strachem.

— Widocznie nie chcą, abym doprowadził wszystko do pierwotnego stanu. Pewnie miałem być zmieniony jak inni. Zmieniłem się jednak tylko częściowo. Nie byłem taki zaniedbany jak teraz. Ciężko pracowałem. Miałem sklep i fach w rękę. Prowadziłem godziwe życie. Panie Barton, oni nie pozwalają mi do tego wrócić. Wręcz wyrywają mi z rąk lutownicę.

Barton odsunął na bok zwój splątanych kabli i izolacji i przysiadł na skraju stołu roboczego.

— Zabrali część pana. Zatem mają nad panem pewną władzę.

Christopher, podniecony, zaczął szperać w zagraconym kredensie.

— To wisi nad Millgate jak jakaś czarna mgła! Jak jakaś wstrętna czarna mgła przesączająca się przez wszystkie okna i drzwi. Zniszczyła całe miasto. Jego mieszkańcy to imitacje ludzi. Prawdziwych już nie ma. Zniknęli w ciągu jednej nocy. — Wyjął zakurzoną butelkę wina i zamachał nią przed Bartonem. — Mój Boże, zamierzam to uczcić! Niech się pan do mnie przyłączy, panie Barton. Trzymam ją od lat.

Barton obejrzał butelkę. Zdmuchnął kurz z etykiety i zbliżył butelkę do lampy naftowej. Była stara, bardzo stara. Importowany muszkatel.

— Czy ja wiem? — powiedział z wątpliwością w głosie. Burbon dawał już znać o sobie, przyprawiając go o nie najlepsze samopoczucie. — Nie lubię mieszać trunków.

— Ale to święto. — Christopher zgarnął stos rupieci na podłogę i odszukał korkociąg. Wsadził butelkę między nogi, starannie przyłożył korkociąg do korka i wkręcił go. — To święto, należy uczcić nasze spotkanie.

Wino było nieszczególnie. Barton wysączył go trochę ze szklanki i przyjrzał się poranej twarzy starego człowieka. Christopher opadł na krzesło i zamyślił się. Wypił szybko swoją porcję z niezbyt czystej szklanki.

— Nie — powiedział. — Oni nie chcą, aby wszystko było jak przedtem. Zależy im na tym. Zabrali nasze miasto. Naszych przyjaciół. — Twarz Christophera spoważniała. — Te łobuzy nie pozwolą nam ruszyć palcem, aby cofnąć wszystko. Myślą, że wszystko mogą.

— Ale mnie się udało tu dostać — mruknął Barton. Miał już zdrowo w czubie. Burbon i wino zmieszane razem zrobiły swoje. — Jakoś przeszedłem przez barierę.

— Nie są doskonali — powiedział Christopher. Wstał i odstawił szklankę. — Zostawili część mnie i wpuścili tu pana. Zwyczajnie to przegapili.

Otworzył dolną szufladę szafki na ubranie i wyrzucił z niej rzeczy i jakieś kartoniki. Na dnie znajdowało się zamknięte pudełko. I stary pojemnik od zastawy stołowej. Chrzękając i pocąc się, Christopher wyjął go i postawił na stole.

— Nie jestem głodny — mruknął Barton. — Chcę tylko tu trochę posiedzieć i...

— Niech pan patrzy — powiedział Christopher i wyjął z portfela maleńki klucz, który następnie bardzo ostrożnie wsunął w otwór zamka, po czym przekręcił go i unióś wienko. — Chcę panu to pokazać, panie Barton. Jest pan moim jedynym przyjacielem. Jedyną osobą na świecie, której mogę zaufać.

Wewnątrz było jakieś połyskujące srebrzyście urządzenie. Wyglądało na skomplikowane: płatanina przewodów, prętów, mierników i przełączników. Wszystko to połączono z jakimś metalowym stożkiem. Christopher wyjął je i wtknął wtyki w gniazda. Następnie połączył przewody z baterią anodową i wkręcił końcówki elektrod we właściwe miejsca.

— Zasłony — chrząknął. — Proszę je opuścić. Nie chcę, aby oni to zobaczyli. — Zachichotał nerwowo. — Dużo by dali, żeby to przechwycić! Myślą, że są sprytni; że wszystkich wzięli pod kontrolę. Ale nie wszystkich.

Pstryknął przełącznik i stożek zabuczał złowieszczo. Wkrótce buczenie przeszło w odgłos przypominający jęk, kiedy Christopher zaczął poruszać pokrętłami. Zaniepokojony Barton dyskretnie odsunął się na bok.

— Co to jest, do cholery? Chcę pan wszystkich wysadzić w powietrze?

Na twarzy Christophera pojawił się chytry uśmiech.

— Później panu powiem. Muszę być ostrożny.

Obiegł pokój, opuszczając zasłony i za każdym razem wyglądając na zewnątrz, po czym zamknął drzwi i podszedł ostrożnie do buczonego stożka. Barton klęczał na podłodze, przyglądając mu się z uwagą. Był to prawdziwy labirynt przewodów — istna połyskująca sieć metalu. Z przodu znajdowała się tabliczka:

C. O.
NIE DOTYKAĆ
WŁASNOŚĆ WILLA CHRISTOPHERA

Christopher zrobił uroczystą minę i usiadł po turecku obok Bartona. Energicznie, niemal z szacunkiem podniósł stożek, potrzymał go przez chwilę nieruchomo, po czym nałożył na głowę. Patrzył spod niego szeroko otwartymi oczyma z pogodnym, lecz wyrażającym doniosłość sytuacji wyrazem twarzy, który przygasł nieco, kiedy buczenie stożka ucichło.

— Cholera! — mruknął i zaczął szukać po omacku lutownicy. — Odłączyło się.

Barton oparł się plecami o ścianę i czekał, przyglądając się sennie Christopherowi, który lutował rozłączone elementy. Ponownie rozległo się buczenie. Głośniejsze niż poprzednio.

— Panie Barton? — zapytał skrzekliwie Christopher. — Jest pan gotowy?

— Cały czas — mruknął Barton.

Otworzył jedno oko, aby ocenić sytuację. Zobaczył, jak Christopher zdjął ze stołu starą butelkę po winie, postawił ją ostrożnie na podłodze i usiadł obok niej, mając wciąż stożek na głowie. Dolna krawędź sięgała mu aż do brwi; widać było, że jest ciężki. Christopher poprawił go trochę i skrzyżowawszy ręce na piersi, skoncentrował się na butelce.

— Co to? — odezwał się Barton, lecz Christopher przerwał mu z miejsca.

— Niech pan nic nie mówi. Muszę się skupić.

Oczy miał na wpół przymknięte, usta zamknięte, brwi zmarszczone. Nabral głęboko powietrza i zastygł w bezruchu.

Cisza.

Bartona coraz bardziej ogarniała senność. Starał się obserwować butelkę po winie, lecz jej smukła zakurzona powierzchnia stawała się mglista i ledwie widoczna. Z trudem stłumił ziewnięcie i czknął. Christopher posłał mu gniewne spojrzenie i ponownie się skoncentrował. Barton wymruczał przeprosiny, a potem ziewnął. Głośno i przeciągle. Cały pokój, Christopher, a przede wszystkim butelka po winie zaczęły nikać. Buczenie działało usypiająco. Przypominało rój pszczoł. Stałe i przenikliwe.

Z trudnością dostrzegł zarys butelki. Był prawie zatarty. Spojrzał z większą uwagą, lecz mimo to nikła mu nadal z oczu. Teraz nie widział jej wcale. Przetarł oczy i spojrzał ponownie. Na niewiele się to jednak zdało. Butelka była tylko plamą, zaledwie cieniem na tle podłogi.

— Przepraszam — mruknął Barton. — Już jej wcale nie widzę.

Christopher nic nie odpowiedział. Jego twarz była ciemnoczerwona, zdawało się, że za chwilę eksploduje. Całą uwagę skoncentrował na miejscu, w którym znajdowała się butelka. Natężył się, patrzył groźnie, marszczył brwi, sapał, z trudem wydmuchiwał powietrze, zaciskał pięści, wyprężył się...

Nagle wszystko zaczęło wracać do normy i Barton poczuł się lepiej. W miejscu gdzie znajdowała się butelka, pojawił się cień, który po chwili stał się plamą, a potem jakimś sześcianiem. Ów sześciak materializował się, nabierając koloru i wyrazistego kształtu. Stał się nieprzezroczysty, tak że Barton nie mógł już widzieć przez niego podłogi. Westchnął z ulgą. Dobrze widzieć to znowu, pomyślał. Ponownie oparł się o ścianę, sadowiąc się wygodnie.

Był tylko jeden problem. Przedmiot stojący na podłodze przed Christopherem niepokoił go i sprawiał, że Barton czuł się nieswojo, gdyż nie była to zakurzona butelka po muszkatelu. To było coś zupełnie innego.

Był to niewiarygodnie stary młynek do kawy. Christopher zdjął stożek z głowy i westchnął przeciągle w triumfie.

— Zdziałało, panie Barton — powiedział. — Oto jest.

Barton pokiwał głową.

— Nie rozumiem — powiedział i poczuł zimny chłód na plecach. — Gdzie jest butelka? Co się stało z tą butelką po winie?

— Tu nigdy nie było butelki po winie — odparł Christopher.

— Ale ja...

— Oszustwo. Deformacja. — Christopher splunął z niesmakiem. — To jest mój stary młynek do kawy. Moja babka przywiozła go ze sobą ze Szwecji. Mówiłem panu przecież, że nie piłem przed Zmianą.

Barton zaczął rozumieć.

— Ten młynek do kawy przekształcił się w butelkę po winie, kiedy dokonała się Zmiana. Lecz...

— Lecz naprawdę był to nadal młynek do kawy. — Christopher wstał wolno; wyglądał na zmęczonego. — Rozumie pan teraz, panie Barton?

— To stare miasto jest więc tu nadal — powiedział Barton, uświadamiając sobie słowa Christophera.

— Oczywiście. Nie zostało zniszczone. Zostało ukryte. Pod powierzchnią. Jest spowite grubą warstwą ciemnej mgły. Iluzji. Przybyli tu i spowili wszystko mrocznym całunem. Ale prawdziwe miasto istnieje nadal. I m o ż e z o s t a ć p r z y w r ó c o n e.

— C.O. Czasowy Odwracacz.

— Zgadza się. — Christopher poklepał z dumą metalowy stożek. — To mój Czasowy Odwracacz. Sam go zbudowałem. Nikt poza mną i teraz panem o nim nie wie.

Barton wyciągnął rękę i podniósł młynek do kawy. Był normalny w dotyku. Stary, z rysami na drewnianej powierzchni. Miał metalowe ramie i pachniał kawą. Był to ostry, tchnący nieco pleśnią zapach. Przekręcił lekko ramie i mechanizm zazgrzytał. Wypadło spod niego kilka ziarenek kawy.

— Więc to jest tu nadal — powiedział łagodnie.

— Tak. Jest tu nadal.

— Jak pan do tego doszedł?

Christopher wyjął fajkę trzęsącymi się rękoma i wolno ją nabił.

— Z początku byłem mocno zniechęcony. Wszystko się zmieniło i każdy mieszkaniec był inny. Okazało się, że nikogo nie znam. Nie mogłem z nimi rozmawiać. Nie rozumieli mnie. Zacząłem co wieczór chodzić do klubu Magnolia. Bez sklepu nie miałem nic do roboty. Pewnej nocy wróciłem do domu, już prawie nie widząc. Usiadłem mniej więcej tu, gdzie siedzę teraz. Zacząłem wspominać stare czasy. Stare miejsca i ludzi. Jak wyglądał mój stary dom. Kiedy tak wspominałem, ta buda zaczęła niknąć. I na jej miejscu pojawił się mój dom.

Przypalił fajkę i uroczyście pociągnął z niej kilka razy.

— Biegałem wokoło jak wariat. Byłem szczęśliwy jak wszyscy diabli. Ale wkrótce zaczął znikać. Z powrotem zmienił się w tę budę. — Postukał palcem w zaśmiecony stół. — Taką, jak pan teraz widzi. Stary grat. Kiedy pomyślę, jak on wyglądał...

— Pamięta pan ten sklep jubilerski Berga?

— Oczywiście. Na ulicy Centralnej. Nie ma go rzecz jasna. Na jego miejscu znajduje się teraz walący się podrzędny pensjonat. Wręcz melina.

Barton wyjął kawałek czerstwego chleba z kieszeni.

— Teraz rozumiem, dlaczego mój kompas zmienił się w to, kiedy wjechałem do tej doliny. Kupiłem go właśnie w sklepie jubilerskim Berga. — Odrzucił na bok kawałek czerstwego chleba. — A ten Czasowy Odwracacz?

— Zbudowanie go zajęło mi piętnaście lat. Sprawili, że moje ręce są takie niezgrabne. Z trudnością mogłem lutować. Niektóre czynności musiałem powtarzać wielokrotnie. To urządzenie służy do koncentrowania moich myśli. Moich wspomnień. Dzięki niemu mogę kierować myślami. Jak soczewką. To jest właśnie sposób na odwracanie rzeczy. Wydobywanie ich z głębi. Na powierzchnię. Owa mgła unosi się i dana rzecz jest jak przedtem. Tym, czym powinna być.

Barton odstawił swoją szklankę z winem. Przedtem była do połowy wypełniona; teraz nie zobaczył w niej nic. Wino, którego nie zdążył wypić, zniknęło wraz z butelką. Powąchał, Szklanka pachniała lekko kawą.

— Odwalił pan kawał solidnej roboty — rzekł Barton.

— Chyba tak. Nie było łatwo. Nie jestem całkowicie wolny. Wciąż kontrolują część mnie. Szkoda, że nie mam zdjęcia tego miejsca, by pokazać panu, jak wyglądało. Było jak marzenie.

Barton obrócił do góry dnem pustą szklankę i wytrząsnął z niej ziarnko kawy.

— Oczywiście nadal pan próbuje.

— Co?

— Z tym. Teraz chyba już nic nie może pana powstrzymać, prawda? Na Boga, człowieku, teraz może pan wszystko odwrócić.

Grymas zakłopotania pokrył twarz Christophera.

— Panie Barton, muszę panu coś powiedzieć.

Nie musiał, nagle bowiem ciepłe wino wylało się na rękaw Bartona i spłynęło na palce i przegub dłoni. W tej samej chwili młynek do kawy zaczął niknąć i na jego miejscu zaczęła pojawiać się butelka z muszkatelem. Była zakurzona i do połowy wypełniona winem.

— To nie trwa długo — powiedział gorzko Christopher. — Nie dłużej niż dziesięć minut. Nie potrafię tego przedłużyć.

Barton splukał ręce w zlewie.

— Zawsze tak jest?

— Zawsze. Nigdy się nie utrwała. Nie potrafię przywrócić na stałe prawdziwych rzeczy. Wydaje mi się, że nie mam dość siły. Kimkolwiek są, są potężni.

Barton wytarł ręce brudnym ręcznikiem. Był głęboko zamyślony.

— Może to tylko z tym przedmiotem tak wychodzi. Próbował pan zastosować swój Czasowy Odwracacz do innych rzeczy?

Christopher wstał i podszedł do kredensu. Pogrzebał w szufladzie i wyjął z niej niewielkie kartonowe pudełko. Wziął je w ręce i ponownie usiadł na podłodze.

— Niech pan spojrzy na to — powiedział i otworzył pudełko, wydając coś z niego. Trzęsącymi się rękoma rozwinął delikatny papier. Barton przykucnął obok i spojrzął zza jego pleców.

W papierze znajdował się kłębek brązowego sznurka. Splątanego i postrzępionego. Był nawinięty na kawałek drewna.

Stara twarz Christophera przybrała wyraz uniesienia, oczy zabłyśły, a usta rozwarły się, kiedy wodził po powierzchni kłębka.

— Próbowalem na tym. Wiele razy. Próbuję niemal co tydzień. Wiele bym dał, gdybym mógł to odwrócić. Ale nie udaje mi się na dłużej niż na krótką chwilę.

Barton wziął sznurek z rąk Christophera.

— Co to jest, u diabła? Wygląda jak zwykły sznurek.

Zmęczona twarz Christophera przybrała wyraz powagi.

— Panie Barton, to jest łyżka do opon Aarona Northrupa.

Barton spojrzął na niego z niedowierzaniem.

— Dobry Boże — westchnął.

— Tak! To prawda. Ukradłem ją. Nikt oprócz mnie nie wiedział, co to jest. Musiałem jej szukać. Pamięta pan, wisiała nad drzwiami Banku Handlowego Milgate.

— Tak. Zawiesił tam ją sam burmistrz. Pamiętam ten dzień. Byłem wówczas małym chłopcem.

— To było bardzo dawno temu. Tego banku, oczywiście, też teraz nie ma. Na jego miejscu znajduje się obecnie herbaciarnia dla pan. Nad prowadzącymi do niej drzwiami wisiał ten kłębek. Pewnej nocy ukradłem go. Dla nikogo poza mną nic nie znaczył. — Christopher odwrócił się pod wpływem wzruszenia. — Nikt oprócz mnie nie pamięta łyżki do opon Aarona Northrupa.

Oczy Bartona także się załzawiły.

— Miałem zaledwie siedem lat, kiedy to się stało — powiedział.

— Widział pan to?

— Widziałem. Głos Boba O’Neilla niósł się po całej Centralnej. Byłem w tym czasie w cukierni.

— A ja naprawiałem starego atwera kenta — dodał Christopher z zainteresowaniem.

sowaniem. — Słyszałem tego łobuza. Wrzeszczał jak zarzynana świnia. Słysząc go było na kilka kilometrów.

Twarz Bartona zajaśniała.

— Potem zobaczyłem, jak oprych przebiega obok. Jego samochód nie chciał zapalić.

— Nie, on nie mógł zapalić ze zdenerwowania. O'Neill krzyczał, a tamten po prostu uciekał przed siebie środkiem ulicy.

— Z pieniędzmi w papierowej torbie, którą trzymał w rękach. Jak torbę z zakupami.

— Pochodził z Chicago. To był jeden z tamtejszych bandziorów.

— Sycylijczyk. Wielki gangster. Zobaczyłem, jak przebiega obok cukierni. Wybiegłem na zewnątrz. Bob O'Neill stał przed bankiem i krzyczał wniebogłosy.

— Wszyscy wokoło biegali i pokrzykiwali jak stado osłów.

Wspomnienia Bartona zaczęły słabnąć.

— Gangster biegł ulicą Fultona. Tam właśnie znajdował się stary Northrup. Zmieniał dętkę w swoim fordzie.

— Tak, przyjechał z farmy po paszę dla krów. Siedział na krawężniku obok podnośnika i łyżki do opon. — Christopher wziął od Bartona kłębek sznurka i ujął go delikatnie w dłonie. — Ten łobuz chciał go minąć...

— Ale stary Northrup wyskoczył jak z procy i walnął go w głowę.

— Był bardzo wysoki.

— Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, przy tym był jednak szczupły. Długonogi stary farmer. Powalił tego oprycha jednym uderzeniem.

— Miał nie lada uderzenie. Od kręcenia korbą forda. Niemal go zabił.

— Facet doznał licznych kontuzji. Łyżka to dość ciężki przedmiot. — Barton ponownie wziął kłębek sznurka i dotknął go delikatnie. — Więc to jest to. Łyżka Aarona Northrupa. Bank zapłacił mu za nią pięćset dolarów. Burmistrz Clayton powiesił ją nad drzwiami banku. To była wielka uroczystość.

— Byli tam wszyscy.

Pierś Bartona wyprężyła się.

— Trzymałem wtedy drabinę. — Zadrzał. — Panie Christopher, miałem ją w ręku. Kiedy Jack Wakeley wspinał się z młotkiem i gwoździami, dał mi tę łyżkę, abym ją potrzyzymał. Dotykałem jej.

— Teraz również — powiedział ze wzruszeniem Christopher. — To jest właśnie ona.

Barton przez dłuższą chwilę spoglądał na kłębek sznurka. — Pamiętam, jak wyglądała. Trzymałem ją. Była ciężka.

— O tak, ważyła sporo.

Barton wstał. Położył kłębek ostrożnie na stole. Zdjął płaszcz i odłożył go na oparcie krzesła.

— Co chce pan zrobić? — zapytał Christopher z niepokojem.

Twarz Bartona przybrała dziwny wyraz. Widać było na niej zdecydowanie pomieszane z zamyśleniem.

— Powiem panu — odrzekł. — Zamierzam usunąć tę mgłę. Zamierzam przywrócić łyżkę do opon w formie, w której była.

8

Christopher przygasił lampę naftową, aż pokój pogrążył się w mroku. Postawił lampę obok kłębka sznurka, a następnie odsunął ją na róg stołu.

Barton stał tuż przy stole wpatrzony w ów kłębek. Jak dotąd nie próbował odwracać rzeczy. To było dla niego coś nowego. Pamiętał jednak dotyk i wygląd przedmiotu. Obraz i towarzyszący kradzieży dźwięk Starego Northrupa wyskakującego jak z procy i uderzenie w głowę złodzieja. Spadającą na ziemię łyżkę. Rozciągniętego na chodniku Sycylijczyka. Uroczystość. Uradowane twarze zgromadzonych. I trzymaną przez chwilę w rękach łyżkę.

Skoncentrował się. Zebrał wszystkie wspomnienia i skierował je na wiotki kłębek brązowego sznurka, splątanego i postrzępionego, leżącego na stole. Wyobraził sobie, że jest tam zamiast niego łyżka do opon. Duża, czarna, metalowa. Ciężka. Stalowa.

Obaj zastygli w bezruchu. Christopher nawet wstrzymał oddech. Barton tkwił sztywno w miejscu, całą uwagę koncentrując na kłębku. Całą swoją siłę psychiczną. Myślał o starym mieście, prawdziwym mieście. Nie zniknęło. Nadal tu było; tu, wokół niego, pod nim; otaczało go ze wszystkich stron. Pod zasłoną iluzji. Warstwą mrocznej mgły. To miasto nadal żyło.

Pod kłębkiem sznurka kryła się łyżka do opon Aarona Northrupa.

Czas mijał. W pokoju zaczęło robić się zimno. Gdzieś w oddali odezwał się zegar. Tytoń w fajce Christophera przygasł, przybierając barwę zimnego popiołu. Barton zadrżał, nie przerywając ani na chwilę. Myślał o wszystkim, co dotyczyło łyżki. Każdym odczuciu, dźwięku, wrażeniach dotykowych...

— Zadrżało — szepnął Christopher.

Kłębek sznurka jakby się wahał. Spowijało go coś nienamacalnego. Barton wyteżył siły. Wszystko dygotało — cały pokój, cienie rzucane przez światło lampy.

— Znowu — szepnął Christopher. — Niech pan kontynuuje. Niech pan nie przerywa.

Barton nie przerywał. Wolno, bezszelestnie kłębek sznurka zaczął niknąć. Zasłaniana przez niego ściana stała się widoczna, a także stół. Przez chwilę nie było widać nic prócz mglistego cienia. Pozostał jedynie ledwie widoczny zarys.

— Nigdy nie udało mi się dojść aż tak daleko — szepnął Christopher ze zdumieniem. — Nigdy.

Barton nie odpowiedział. Nieprzerwanie koncentrował swoją uwagę na tym samym miejscu. Na łyżce do opon. Musiała się pojawić. Odślaniał ją, zmuszał, aby się ukazała. Musiała. Tkwiła tu, skryta za zasłoną iluzji.

Nagle zamajaczył jakiś długi cień. Dłuższy od kłębka sznurka. Długi prawie na pół metra. Migotał i po chwili stał się wyraźniejszy.

— Jest! — wykrzyknął Christopher. — Pojawiła się! Rzeczywiście zaczęła się pojawiać. Barton koncentrował się, aż zobaczył czarne plamki przed oczyma. łyżka wyłaniała się. Stała się czarna, matowa. Połyskiwała nieznacznie w świetle lampy naftowej. A potem...

Łyżka z hukiem spadła na podłogę.

Christopher przyskoczył do niej i podniósł ją do góry. Cały drżał i wycierał załzawione oczy.

— Udało się panu, panie Barton. Przywrócił ją pan.

Barton oklapł ze zmęczenia.

— Tak — westchnął. — To ona. Taka, jak ją pamiętam.

Christopher powiódł ręką wzdłuż metalowego pręta.

— Stara łyżka do opon Aarona Northrupa. Nie widziałem jej od osiemnastu lat. Od tamtego pamiętnego dnia. Ja bym tego nie dał rady zrobić. Ale pan zdołał.

— Dobrze ją pamiętałem — chrząknął Barton. Wytarł trzęsącą się ręką czoło; był cały spocony i osłabiony. — Może nawet lepiej od pana. Trzymałem ją przecież w ręce. Poza tym mam dobrą pamięć.

— I nie było pana tu.

— Nie. Mnie ta Zmiana nie dotknęła. Nie jestem ani trochę przeobrażony.

Stara twarz Christophera zajaśniała.

— Teraz moglibyśmy razem działać, panie Barton. Nic nas nie powstrzyma. Całe miasto. Możemy je odwrócić. Kawalek po kawałku. Wszystko, co pamiętamy.

— Nie pamiętam wszystkiego — mruknął Barton. — Są tu miejsca, których nigdy nie widziałem.

— Ale może ja je pamiętam. Razem pewnie przypomnimy sobie całe Millgate.

— Może uda nam się znaleźć jeszcze kogoś do pomocy. Zdobyć mapę miasta i odtworzyć je.

Christopher odłożył łyżkę na bok.

— Zbuduję Czasowy Odwracacz dla nas obu. Dla każdego z nas z osobna. Zbuduję ich setki różnej wielkości i kształtów. Nosząc je... — Jego głos zamilkł. Na twarzy pojawił się wyraz z wątpienia.

— Co się stało? — zapytał z niepokojem w głosie Barton. — Coś złego?

— To Czasowy Odwracacz. — Christopher usiadł odrętwiały przy stole i podniósł swoje urządzenie. — Nie był przecież włączony. — Rozjaśnił lampę. — Przywrócił pan łyżkę bez jego pomocy — powiedział z trudem. Wyglądał, jakby się nagle postarzał o kilka lat; poruszał się ociężale. — Wszystkie te lata. Wszystko to na darmo.

— Nie — powiedział Barton. — Myślę, że nie.

— Ale dlaczego? — zapytał bezsilnie Christopher. — Jak pan to zrobił?

Barton nie słuchał go. Jego umysł pracował gorączkowo. Nagle zerwał się na nogi.

— Musimy się tego dowiedzieć — powiedział.

— Tak — zgodził się Christopher, podnosząc się gwałtownie. Pokręcił bez celu łyżką i podał ją nagle Bartonowi. — Proszę.

— Co?

— Jest pana, panie Barton. Nie moja. Nigdy nie należała do mnie.

Po chwili wahania Barton przyjął ją.

— W porządku — powiedział. — Wezmę ją. Wiem, co należy zrobić. Przed nami dużo roboty. — Zaczął przechadzać się tam i z powrotem, trzymając w ręku łyżkę niczym topór. — Siedzieliśmy tu wystarczająco długo. Musimy teraz trochę pochodzić.

— Pochodzić?

— Musimy zobaczyć, czy zdołamy to zrobić. Na wielką skalę. — Barton nie-

cierpliwie zamachał łyżką. — To tylko jeden przedmiot. Mój Boże, to dopiero początek. Musimy odtworzyć całe miasto!

— Tak. — Christopher skinął wolno głową. — Rzeczywiście wiele przed nami.

— Może nie uda się nam tego zrobić. — Barton otworzył drzwi i poczuł powiew zimnego wiatru; była noc. — Chodźmy.

— Gdzie mamy iść?

Barton już był na zewnątrz.

— Zrobimy próbę. Coś dużego. Coś ważnego.

Christopher ruszył za nim.

— Ma pan rację. Ten Czasowy Odwracacz nie gra roli. Wychodzi i to jest ważne. Jeśli potrafi pan to robić sam. . .

— Z czym spróbujemy? — zapytał Barton, kierując się ciemną uliczką, cały czas mocno trzymając łyżkę. — Musimy tylko wiedzieć, czym to było przed Zmiana.

— Miałem dość czasu, aby ustalić, co było w moim najbliższym sąsiedztwie. Udało mi się zrobić szkic tej części miasta. To tam. — Christopher wskazał wysoki budynek. — Tam był garaż i warsztat samochodowy. A dalej te stare, zapuszczone sklepy. . .

— Czym one były? — zapytał Barton, przyśpieszając kroku. — Mój Boże, wyglądają strasznie. Co tam było? Co się pod nimi kryje?

— Nie pamięta pan? — zapytał cicho Christopher. Barton zamyślił się chwilę. Musiał rzucić wzrokiem na okoliczne wzgórza, aby ustalić swoje położenie.

— Nie jestem pewien. . . — zaczął i zaraz sobie przypomniał.

Osiemnaście lat to szmat czasu. Ale nigdy nie zapomniał starego parku z armatą. Nieraz się tam bawił. Jadał tam lunch z matką i ojcem. Ukryty w gęstej trawie bawił się z innymi dziećmi w kowbojów i Indian.

W nikłym świetle zdołał dojrzeć rząd walących się ruder. Starych sklepów, od dawna nie używanych. Brakujące deski, wybite szyby w witrynach, gdzieś powiewające w podmuchach wiatru stare szmaty. Wstrętne, gnijące dziury, w których gnieździły się ptaki i przemykające tu i ówdzie szczury i myszy.

— Wyglądają bardzo staro — powiedział spokojnie Christopher. — Na pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat. Ale przed Zmianą ich tu nie było. To był park.

Barton przeszedł na drugą stronę ulicy.

— Zaczynał się tutaj — stwierdził. — Na tym rogu ulicy. Jak się ona teraz nazywa?

— Teraz to ulica Dudleya — powiedział w podnieceniu Christopher. — Armata stała w centrum. Obok niej znajdowała się piramida kul! To było stare działo z czasów wojny secesyjnej. Lee przeciągnął ją przez całe Richmond.

Stanęli blisko siebie, wspominając, jak wyglądało tu przedtem. Park i armata. Dawne miasto, to prawdziwe, które nadal istniało. Milczeli przez chwilę. Byli pogrążeni we własnych myślach.

Po chwili Barton ruszył przed siebie.

— Pójdę na tamten koniec. Zaczynał się przy skrzyżowaniu Milтона i Jonesa.

— Teraz są to Dudley i Rutledge. — Christopher ożywił się. — Ja zacznę od tego końca.

Barton doszedł do przeciwległego skraju i zatrzymał się. W panującym mroku

z trudem mógł dostrzec oddaloną sylwetkę Willa Christophera. Starzec zamachał do niego i krzyknął:

— Niech pan powie, kiedy mam zacząć!

— Już teraz! — odkrzyknął Barton, czując ogarniającą go niecierpliwość. Stracono dostatecznie dużo czasu — osiemnaście lat. — Niech pan się skoncentruje na swoim skraju. Ja zacznę od tego tu.

— Myśli pan, że nam się uda? Park miejski to duża rzecz.

— Cholernie duża — odrzekł Barton przytłumionym głosem. Spojrzał na stare, walące się sklepy i wyteżył wszystkie siły. Znajdujący się po drugiej stronie Will Christopher zrobił to samo.

9

Mary leżała skulona w łóżku, czytając magazyn, kiedy pojawił się Wędrowiec.

Wyszedł ze ściany i wolno przemierzył pokój; miał zamknięte oczy, zaciśnięte pięści i poruszał ustami. Mary z miejsca odłożyła czasopismo i wstała z łóżka. Tego Wędrowca jeszcze nigdy nie widziała. Była to kobieta w sile wieku, miała około czterdziestu lat. Była wysoka i tęga, miała szpakowate włosy i okazałe piersi. Na jej czerstwej twarzy widać było wyraz jakiejś śmiertelnej powagi; jej usta poruszały się cały czas, kiedy przechodziła przez pokój. Bezszelestnie przeszła przez krzesło z wysokim oparciem, a następnie przeniknęła przez ścianę.

Serce Mary zabiło mocniej. Ta Wędrowniczka szukała jej, ale poszła za daleko. Trudno się dziwić, skoro miała zamknięte oczy. Liczyła, starając się ustalić, gdzie się dokładnie znajduje.

Mary wybiegła pędem z pokoju na korytarz, a potem na zewnątrz. Okrążyła dom i zatrzymała się przy ścianie znajdującej się po przeciwnej stronie pokoju. Kiedy czekała na wynurzenie się Wędrowniczki, cały czas miała przed oczyma tamtego Wędrowca, który też poszedł za daleko, ale nie na tyle, aby wyjść poza budynek. Najwyraźniej otworzył oczy w trakcie przechodzenia przez ścianę. W każdym razie nigdy się z niego nie wynurzył. Potem przez kilka następnych tygodni rozchodził się jakiś wstrętny zapach.

Coś zamajaczyło. Była ciemna noc; na niebie świeciło tylko kilka jaśniejszych gwiazd. Zgodnie z przewidywaniem Mary, Wędrowniczka właśnie wychodziła. Poruszała się wolno, ostrożnie. Widać, że mogła w każdej chwili otworzyć oczy. Była spięta. Zdenerwowana. Mięśnie naprężone. Usta zaciśnięte. Nagle jej powieki zatrzepotały i otworzywszy szeroko oczy, rozejrzała się z nie ukrywaną ulgą.

— Jestem tutaj — odezwała się Mary i podbiegła do niej.

Wędrowniczka usiadła na kamieniu.

— Dzięki Bogu. Bałam się. . . — Rozejrzała się nerwowo wokoło. — Poszłam za daleko, prawda? Jesteśmy na zewnątrz.

— Wszystko w porządku. Czego pani chciała?

Wędrowniczka rozluźniła się nieco.

— Miła noc. Ale zimna. Nie powinnaś włożyć swetra? — zapytała i po chwili dodała: — Na imię mi Hilda. Widzisz mnie po raz pierwszy, prawda?

— Tak — zgodziła się Mary. — Ale wiem, kim pani jest.

Usiadła bliżej Wędrowniczki. Teraz, z otwartymi oczyma, Hilda wyglądała jak wszyscy. Straciła połyskującą poświatę; była tak samo materialna jak wszystko wokoło. Mary wyciągnęła rękę i dotknęła jej ramienia. Było twarde. I ciepłe. Mary uśmiechnęła się do niej, a Hilda odwzajemniła jej uśmiech.

— Ile masz lat, Mary? — zapytała.

— Trzyście.

Wędrowniczka dotknęła czarnych loków Mary.

— Jesteś śliczną dziewczynką. Myślę, że masz wielu adoratorów. Chociaż może jesteś jeszcze na to za młoda.

— Chciała się pani ze mną zobaczyć, prawda? — zapytała przyjaźnie Mary.

Trochę się niecierpliwiła; bała się, że ktoś może nadejść, a poza tym była pewna, że dzieje się coś ważnego. — O co chodzi?

— Potrzebujemy informacji.

— Jakich? — zapytała Mary, powstrzymując się przed ziewnięciem.

— Jak zapewne wiesz, dokonaliśmy postępu. Wszystko zostało wiernie odtworzone i naniesione na mapę. Mamy szczegółowy model, dokładny pod każdym względem. Ale...

— Ale nie działa.

— Wręcz przeciwnie — zaproponowała Wędrowniczka. — Nie możemy go tylko ożywić. Nasz model jest statyczny, pozbawiony mocy. Aby pokonać tę trudność, potrzebujemy więcej energii.

— Tak myślę. — Mary uśmiechnęła się.

Z wyrazem głodu w oczach Wędrowniczka wpatrywała się w Mary.

— Taka energia istnieje. Wiem, że ty jej nie posiadasz. Ale jesteśmy pewni, że jest tu ktoś, kto ją ma. Istnieje tutaj i my musimy ją zdobyć.

— Czego ode mnie oczekujecie? — zapytała Mary.

Szare oczy Wędrowniczki zabłyśły.

— Powiedz nam, jak przejąć kontrolę nad Peterem Trillingiem.

Mary nieomal podskoczyła zdumiona.

— Peterem? On wam nie pomoże.

— On posiada tę właściwą energię.

— To prawda. Ale nie do waszych celów. Gdybyście znali całą historię z nim związaną, wiedzielibyście dlaczego.

— Gdzie nabył tej energii?

— Jest na tym samym poziomie co moja.

— To nie jest odpowiedź. Skąd pochodzi ta energia?

— Pytała już mnie pani o to — odparła Mary.

— Nie możesz nam powiedzieć?

— Nie.

Umilkły. Wędrowniczka zastukała paznokciami.

— To by nam bardzo pomogło. Wiesz dostatecznie dużo o Peterze Trillingu. Dlaczego nie możesz nam powiedzieć?

— Niech się pani nie przejmuję — odrzekła Mary. — Zajmę się Peterem, kiedy nadejdzie odpowiednia pora. Zostawcie go mnie. W chwili obecnej ta sprawa to nie wasz interes.

— Jak śmiesz! — oburzyła się Wędrowniczka.

— Przepraszam. — Mary zaśmiała się. — Ale to prawda. Wątpię, czy to by wam cokolwiek pomogło, jeśli opowiedziałabym o mnie i o Peterze. Przypuszczam, że nawet by przeszkodziło.

— Co wiesz o naszym programie? Tylko to, co ci powiedzieliśmy?

— Być może. — Mary uśmiechnęła się.

Na twarzy Wędrowniczki odmalowała się wątpliwość.

— Nie możesz wiedzieć więcej.

Mary wstała.

— Czy jeszcze o coś chciała mnie pani zapytać?

Wędrowniczka spojrzała na nią surowo.

— Wiesz, co moglibyśmy ci zrobić?

Mary poruszyła się niecierpliwie.

— Teraz nie czas na bzdury. Wokoło dzieją się niezwykle ważne rzeczy. Zamiast pytać mnie o Petera Trillinga, powinniście byli zainteresować się Tedem Bartonem.

— A kto to taki? — zapytała zdziwiona Wędrowniczka.

Mary złączyła dłonie i skupiła na nich swoją uwagę.

— Theodore Barton jest jedyną osobą od osiemnastu lat, która przeniknęła przez barierę — powiedziała. — Nie licząc Petera, oczywiście. Peter przechodzi przez nią, kiedy tylko chce. Barton jest z Nowego Jorku. Jest tu obcy.

— Naprawdę? — spytała obojętnie Wędrowniczka. Mary rzuciła się nagle przed siebie. Coś, co chciała złapać, umknęło jej jednak. Wędrowniczka szybko zamknęła oczy, wyciągnęła przed siebie ręce i zniknęła w ścianie budynku. Wszystko to trwało ułamek sekundy i odbyło się w ciszy. Mary została sama w ciemności.

Szybko oddychając, zaszyła się w zaroślach, szukając po omacku niewielkiej, biegnącej figurki. Golem nie mógł daleko uciec, gdyż miał zaledwie dziesięć centymetrów wzrostu. Mary dostrzegła go przypadkowo, dzięki światłu gwiazd, których błysk odbił się od powierzchni golema, w chwili gdy zmieniał pozycję...

Zastygła w bezruchu, czekając, aż się znowu pokaże. Był gdzieś w pobliżu. Pewnie pod stertą liści i gnijącego siana zwalonego pod ścianą. Jeżeli nie był pod ścianą, lecz gdzieś między drzewami, wówczas Mary nie miałaby szans go złapać. Wstrzymała oddech i zamarła. Golemy były małe i zwinne, ale głupie. Nie mądrzejsze od myszy. Miały jednak dobrą pamięć, czego nie można powiedzieć o myszach. Były doskonałymi obserwatorami, nawet lepszymi od pszczoł. Mogły dotrzeć niemal wszędzie, słuchać i patrzeć, a następnie zdać dokładne raporty. A co najważniejsze, mogły mieć dowolny kształt i wielkość.

Tej jedynej rzeczy zazdrościła Peterowi, nie miała władzy nad gliną. Jej władza kończyła się na pszczołach, motylach, kotach i muchach. Golemy były bezcenne. Peter posługiwał się nimi przez cały czas.

Nagle rozległ się ledwie dosłyszalny dźwięk; golem poruszył się. Miała rację: siedział w gnijącym sianie. Wyglądał na zewnątrz, wypatrując Mary. Co za głupi golem! Jego uwaga, podobnie jak wszystkich glinianych stworów, była niezwykle ograniczona. Szybko się niecierpliwiły. I takie sprawiały wrażenie, gdy wyjrzał ze sterty siana.

Mary nadal tkwiła nieruchomo w miejscu, przyczajona. Siedziała przykucnięta i opierała się dłońmi o ziemię, w każdej chwili gotowa rzucić się na golema, gdy tylko się pokaże. Mogła czekać tak długo jak on. A nawet dłużej. Noc była chłodna, ale nie zimna. Wcześniej czy później golem wyjdzie i o to jej tylko chodziło.

Peter w końcu się przeliczył. Wysłał golema za daleko, poza granicę, do jej strefy. Zaczął się niepokoić. Pewnie za sprawą tego Bartona. Ten człowiek z zewnątrz krzyżował plany chłopca, był nowym elementem, którego znaczenia Peter nie rozumiał. Mary uśmiechnęła się chłodno. Biedny Peter. Czekala go niespodzianka. Jeżeli tylko będzie dostatecznie czujna...

Golem wyszedł. Był płci męskiej; Peter wołał właśnie takie. Zawahał się chwilę i skreślił w prawo, gdzie czekała już na niego Mary.

Wiercił się wściekle w jej dłoni, lecz Mary nie pozwoliła mu uciec. Wstała i ruszyła ścieżką wokół Domu Cieni w kierunku drzwi.

Nikt jej nie widział. Hol był pusty. Jej ojciec przebywał razem ze swoimi

pacjentami, prowadząc nie kończące się badania, Wciąż odkrywał coś nowego. Całe swoje życie poświęcił ochronie zdrowia mieszkańców Millgate.

Weszła do swojego pokoju i starannie zamknęła drzwi. Golem wyraźnie osłabł; zwolniła nieznacznie uścisk dłoni i zanosła go na stół. Upewniwszy się, że nie ucieknie, opróżniła flakon z kwiatów, wrzucając je do wiadra na śmieci, a następnie zakryła golema samym wazonem. Już po wszystkim. Pierwsza partia dobiegła końca. Teraz mogła spokojnie odpocząć. Nie wolno było popełnić błędu. Długo czekała na taką okazję. Równie dobrze mogła się nigdy nie nadarzyć.

Najpierw rozebrała się do naga. Ubranie położyła starannie obok łóżka, jak gdyby wybierała się do łazienki, by wziąć prysznic. Następnie z szafki z lekami wzięła słoik z kremem do opalania i starannie się nim posmarowała.

Musiała koniecznie wyglądać jak golem, w każdym calu chciała być do niego podobna. Były oczywiście pewne ograniczenia. On był płci męskiej, ona zaś żeńskiej. Jej ciało było jednak jeszcze młode i nie do końca uformowane — piersi miała nadal ledwie widoczne, nie rozwinięte. Była szczupła i giętka jak małe dziecko. Wystarczy.

Kiedy każdy centymetr jej ciała już połyskiwał, zwinęła długie czarne włosy w kok i spięła ciasno na karku. Prawdę powiedziawszy, powinna je ściąć, ale nie zdobyła się na to. Za długo musiałaby czekać, aż odrosną. Na pewno posypałyby się zaraz pytania, dlaczego to zrobiła. A poza tym lubiła je.

Co dalej? Obejrzała się dokładnie. Tak, bez ubrania, z włosami spiętymi na karku była podobna do tego golema pod flakonem. Jak na razie wszystko szło po jej myśli. Dobrze, że nie jest starsza; gdyby jej piersi były trochę większe, nie miałyby szans. Spodziewała się, że mogą być mimo wszystko kłopoty; Peter wciąż miał władzę nad tym golemem, nawet z takiej odległości. Wprawdzie słabła ona z czasem, niemniej goleni miał powrócić z raportem w ciągu godziny. Musiała się pospieszyć, gdyż Peter może zacząć coś podejrzewać.

Z apteczki w łazience wzięła trzy butelki i pudełko. Szybko ugniotła papkę z ich zawartości, a następnie zaczęła formować z niej imitację golenia.

Znajdujący się pod flakonem golem przyglądał się temu z rosnącym niepokojem. Mary szybko uformowała ręce i nogi. Był podobny; nie musiał być identyczny. Skończyła stopy i dłonie, po czym wygładziła chropawe powierzchnie i zjadła całą figurkę.

Poczuła pieczenie w gardle. Zakrztusiła się i łzy napłynęły jej do oczu. Czują, jak wszystko w brzuchu jej się skręca, i złapała się za krawędź stołu. Cały pokój wirował jej przed oczyma. Zacisnęła powieki. Wszystko wirowało i falowało. Zwinęła się w kłębek, kiedy żołądek się jej skręcał. W pewnej chwili jęknęła i z trudem się wyprostowała. Wykonała kilka niepewnych kroków. . .

Dwa obrazy, jakie ukazały się jej oczom, oszołomiły ją. A także inne podwójne wrażenia. Minęło sporo czasu, zanim odważyła się choć trochę poruszyć kórkimś z ciała. Poprzez jedno widziała pokój, taki, jakim zawsze był — to były jej własne oczy i jej własne ciało. Drugi widok był bardzo dziwny, ogromny i przytłaczający, zniekształcony przez szklaną ściankę flakonu.

Miała kłopoty z przyzwyczajeniem się do dwóch ciał naraz. Swojego własnego i tego dziesięciocentymetrowego. Poruszyła na próbę parą malutkich rączek i nóg. Zachwiała się i upadła; to znaczy jej małe ciało zachwiało się i upadło. Jej normalne ciało stało bez ruchu na środku pokoju, śledząc wszystko.

Wstała. Ścianka flakonu była śliska i nieprzyjemna. Z powrotem skoncentro-

wała uwagę na swoim normalnym ciele i podeszła do stołu. Ostrożnie podniosła flakon i uwolniła swoje mniejsze wcielenie.

Po raz pierwszy mogła obejrzeć własne ciało z odległości.

Stała nieruchomo obok stołu, podczas gdy jej maleńkie wcielenie oglądało ją kawałek po kawałku. Chciała się roześmiać. Jakże ogromna teraz była! Potężna, o brązowym odcieniu skóry. Ogromne ramiona, szyja i gigantyczna twarz. Patrząc na nią czarne oczy, czerwone usta i białe, wilgotne zęby.

Stwierdziła, że lepiej jest, gdy kieruje każdym ciałem oddzielnie. Najpierw skoncentrowała się na ubraniu swojego normalnego ciała. Kiedy wkładała dzinsy i bluzkę, dziesięciocentymetrowa figurka stała nieruchomo. Nałożyła kurtkę i buty, rozpuściła włosy i starła olejek z twarzy i rąk. Następnie wzięła małą figurkę i włożyła ją do kieszeni na wysokości piersi.

Dziwne uczucie — być niesionym we własnej kieszeni. Kiedy wyszła z pokoju i ruszyła holem, cały czas czuła szorstką powierzchnię materiału, który ją dławił, oraz dudnienie serca. Pierś unosiła się i opadała przy każdym oddechu; rzucało nią na boki jak tratwą na wzburzonym morzu.

Noc była chłodna. Mary biegła szybko, przez bramę i na ulicę. Do miasta był niecały kilometr; Peter bez wątpienia znajdował się w swojej pracowni w stodole. W dole rozciągało się Millgate. Z rzadka tylko pojawiało się światło; większość ulic i budynków było nie oświetlonych. Po kilku minutach dotarła do przedmieścia i pobiegła opuszczoną boczną ulicą. Pensjonat znajdował się w centrum miasta na ulicy Jeffersona. Stodoła stała niedaleko za nim.

Dotarła do ulicy Dudleya i zatrzymała się. Coś się przed nią działo.

Po chwili ostrożnie ruszyła do przodu. Miała przed sobą podwójny ciąg opuszczonych sklepów. Niszczwały od lat, od tak dawna, jak sięgała pamięcią. Nikt tędy nie chodził. Całe sąsiedztwo było opuszczone, to znaczy z a z w y c z a j opuszczone.

Przecznice dalej, na środku ulicy stało dwóch mężczyzn. Machali rękoma i krzyczeli do siebie. Pewnie jacyś pijacy z barów na ulicy Jeffersona, pomyślała. Mieli ochryple głosy i poruszali się niezgrabnie. Nieraz widziała pijaków chodzących ulicami, lecz akurat nie to ją interesowało.

Ostrożnie podeszła bliżej, aby się im dokładniej przyjrzeć.

Nie stali beczynn timer. Coś robili. Krzyczeli i gestykulowali wyraźnie podekscytowani. Echa ich głosów przewalały się po opuszczonych ulicach. Byli tak pochłonięci swoim zajęciem, że nawet nie zauważyli, jak podeszła do nich. Jednego z nich, starszego, siwowłosego mężczyzny nie znała. Drugim był Ted Barton. Jego widok zaskoczył ją. Co tu robi, stojąc na środku nie oświetlonej ulicy, machając rękoma i krzycząc z całych sił?

Rząd walących się, opuszczonych sklepów między nimi wyglądał dziwnie. Miały jakiś niesamowity, nieziemski wygląd. Nikła, ledwie widoczna poświata otaczała zapadnięte dachy i werandy, a z rozbitych okien emanowało jakieś zagadkowe światło. To światło wydawało się źródłem podniecenia obu mężczyzn. Coraz szybciej biegali tam i z powrotem, podskakując, klnąc i krzycząc przy tym.

Światło stawało się coraz jaśniejsze. Opuszczone sklepy jakby falowały, niknęły jak stare napisy. Z każdą chwilą wydawały się mniej widoczne.

— Teraz! — krzyknął w pewnym momencie starzec.

Walące się sklepy znikwały. Całkowicie. Ich miejsce zajmowało coś innego. To coś tworzyło się szybko. Zarysy sklepów jakby się zawahały, zeszywniały i potem szybko skurczyły. I wówczas zobaczyła, co zaczęło się wynurzać, zajmując ich miejsce.

To nie były sklepy, lecz jakaś płaska powierzchnia, trawa, niewielki budynek i coś jeszcze. Niewyraźny kształt w samym środku. Barton i jego kolega podbiegli tam, wyraźnie podnieceni.

— Jest! — krzyknął starzec.

— Zrobił pan to nie tak. Ta lufa. Ona jest dłuższa.

— Nie, nie jest. Niech pan podejdzie tutaj i skoncentruje się na lawecie. Tędy.

— Co z tą lufą? Jest zła!

— Oczywiście, że nie. Niech mi pan pomoże z tą lawetą. Tu powinna być także piramida z kul armatnich.

— Racja. Pięć lub sześć.

— I mosiężna tablica.

— Tak, tablica również. Z napisem. Nie odtworzymy właściwie tego szczegółu.

Kiedy obaj mężczyźni koncentrowali się na szybko formującej się armacie, skraje parku zaczęły niknąć i na ich miejscu zaczęły pojawiać się zarysy sklepów. Barton dostrzegł to. Wyprostował się z dzikim okrzykiem na ustach i skoncentrował się na skrajach parku. Machając rękoma i krzycząc, doprowadził do tego, że sklepy zniknęły. Zafalowały i rozplynęły się, a skraje parku nabrały trwałego wyglądu.

— Ścieżka — krzyknął starzec. — Niech pan nie zapomni o ścieżce.

— A co z ławkami?

— Niech się pan nimi zajmie. Ja zajmę się armatą.

— Niech pan nie zapomni o kulach armatnich! — Barton pobiegł skoncentrować się na ławce. Biegał tam i z powrotem, tworząc jedną po drugiej. W ciągu kilku minut miał już sześć lub siedem zamglonych zielonych ławek majaczących w nikłym świetle gwiazd. — A co z masztem? — krzyknął.

— Co ma być?

— Gdzie stał? Nie pamiętam!

— Tu. Obok estrady.

— Wydaje mi się, że nie. Stał przy fontannie. Musimy to sobie przypomnieć.

Obaj skoncentrowali uwagę na innej części parku. Po chwili zaczął wynurzać się mglisty okrągły kształt. Stara mosiężna kolumna i betonowa fontanna. Obaj wykrzyknęli w zachwycie. Mary westchnęła: z fontanny wolno wypływała woda.

— Jest! — krzyknął radośnie Barton, machając czymś metalowym. — Nie-raz w niej brodziłem. Pamięta pan? Dzieciaki często zdejmowały buty i brodziły w niej.

— No pewnie. Jasne, że sobie przypominam. Co z tym masztem?

Nie byli zgodni w tej kwestii. Starzec skoncentrował się na jednym miejscu, Barton zaś na innym. W tym czasie fontanna zaczęła niknąć i musieli przerwać, aby ją z powrotem odtworzyć.

— Który na nim był? — zapytał Barton. — Który sztandar?

— Oba.

— Nie. Sztandar Konfederacji.

— Nie ma pan racji. Tam był gwiazdzisty sztandar.

— Już wiem. Jestem tego całkowicie pewny! — Barton ustalił w końcu właściwe miejsce. Niewielka betonowa podstawa i mglisty maszt zaczęły się szybko wyłaniać. — Jest! — krzyknął z zadowoleniem. — Jest!

— A teraz sztandar. Niech pan nie zapomni o sztandarze.

— Teraz jest noc. Wtedy tam go nie ma.

— Słusznie. Na noc jest ściągany. To wyjaśnia sprawę.

Park był odtworzony prawie w całości. Na skrajach falował i nikał, przeobrażając się w ciąg walących się sklepów. W centrum jednak był trwały. Armata, fontanna, estrada, ławki i ścieżki — wszystko prawdziwe.

— Udało się nam! — zawołał starzec. Poklepał Bartona w plecy. — Naprawdę się udało!

Uścisnęli się, pokleпали, objęli, a potem pobiegli co tchu w głąb parku. Biegali po ścieżkach, wokół fontanny i obok armaty. Barton podniósł jedną z kul. Mary domyśliła się, że musi być bardzo ciężka. Opuścił ją na miejsce, odetchnąwszy z ulgą, po czym zachwiał się i ciężko usiadł.

Niemal jednocześnie opadli obok siebie na jedną z zielonych ławek, które odtworzyli. Wyczerpani oparli się o nią, rozsunęli nogi i opuścili bezwładnie ręce. Radowali się, czując satysfakcję z dobrze wykonanej pracy.

Mary wyszła z cienia i podeszła do nich. Stwierdziła, że nadszedł czas, aby się ujawnić.

10

Pierwszy zauważył ją Barton. Usiadł prosto, chowając za siebie tyżkę do opon, i przyjął czujną postawę.

— Kim jesteś? — Przyglądał się jej, lecz niewiele widział z powodu panującego mroku. Dopiero kiedy zbliżyła się jeszcze bardziej, poznał ją. — Należysz do tych dzieciaków. Widziałem cię przy pensjonacie. Jesteś córką doktora Meade'a.

— Zgadza się — powiedziała Mary i usiadła na przeciwległej ławce. — Mogę sięść na jednej z waszych ławek?

— One nie są nasze — odparł Barton. Zaczął dochodzić do siebie. Docierała do niego świadomość tego, czego dokonali. — One nie należą do nas.

— Ale panowie je stworzyli, prawda? Interesujące. Nikt tego tu nie potrafi. Jak to się panom udało?

— Nie stworzyliśmy ich. — Barton trzęsącymi się rękoma wyjął papierosa i zapalił go. On i Christopher spojrzeli po sobie ze strachem i niedowierzaniem. Czyżby naprawdę im się udało? Rzeczywiście odtworzyli dawny park? Część dawnego miasta?

Barton opuścił rękę i dotknął ławki pod sobą. Istniała naprawdę. Siedział na niej, tak jak i Christopher. I również ta dziewczynka, która nie miała z tym nic wspólnego. To nie była halucynacja. Wszyscy troje siedzieli na ławkach. To najlepszy dowód.

— No — mruknął Christopher — co pan o tym sądzi?

Barton wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Nie przypuszczałem, że aż tak nam się uda.

Oczy Christophera były szeroko otwarte, a nozdrza drgały jak u konia.

— To w wyniku pańskich zdolności. — Spojrzał na Bartona z szacunkiem. — Naprawdę wiedział pan, jak to zrobić. Jak do niego dotrzeć. Do prawdziwego miasta.

— Zrobiliśmy to razem — odrzekł Barton.

Jego umysł doszedł już do siebie, lecz ciało nadal było wyczerpane. Czuł się kompletnie wypompowany; z trudem mógł podnieść rękę. Bolała go głowa, a usta wypełniał jakiś nieprzyjemny, mdlący metaliczny posmak.

Zrobili, co zamierzali.

Mary była zachwycona.

— Jak to się panom udało? Nigdy dotąd nie widziałam czegoś, co by powstało z niczego. Tylko On może dokonać takich rzeczy, a i to nie zawsze.

Barton pokiwał głową wyraźnie zmęczony. Był zbyt wyczerpany, aby chcieć o tym rozmawiać.

— Nie z niczego. To tu było. My je tylko wydobyliśmy.

— Wydobyli panowie? — Oczy dziewczynki zapłonęły.

— Chcą panowie powiedzieć, że te stare sklepy były jedynie iluzją?

— Ich tu naprawdę nie było. — Barton postukał w ławkę. — To jest prawdziwa rzecz. Prawdziwe miasto. Wszystko pozostałe to iluzja.

— Co to takiego, to metalowe, które pan tak mocno ściska?

— To? — Barton podniósł łyżkę do opon. — Odtworzyłem ją. Do tej pory był to kłębek sznurka.

Mary przyjrzała się badawczo Bartonowi.

— Czy w tym celu pan tu przybył? Żeby odwracać rzeczy?

To było dobre pytanie. Barton wstał, chwiejąc się na nogach.

— Idę. Mam już dosyć na dzisiaj.

— Dokąd pan idzie? — rzucił Christopher.

— Do siebie. Odpocząć. Przemyśleć to i owo — powiedział Barton i powlókł się w kierunku chodnika. — Jestem wykończony. Muszę coś zjeść i odpocząć.

Mary zerwała się nagle z ławki.

— Pan nie może zbliżyć się do pensjonatu.

Barton zamrugał.

— Dlaczego nie mogę, do cholery?

— Tam jest Peter — odparta i podeszła do Bartona. — Nie, to złe miejsce. Pan musi go unikać za wszelką cenę.

Barton spojrzał na nią spode łba.

— Nie boję się tego gówniarza. Ani trochę — rzucił i zamachał wojowniczo łyżką do opon.

Mary położyła rękę na ramieniu Bartona.

— Nie, zrobi pan wielki błąd, jeśli pan tam wróci. Musi pan pójść gdzie indziej. Gdzieś, gdzie będzie pan mógł przeczekać, aż to rozpracuję. Muszę to rozgryźć! — Zmarszczyła brwi w zamyśleniu. — Pójdzie pan do Domu Cieni. Mój ojciec zaopiekuje się panem. Niech pan idzie prosto do niego i niech pan absolutnie z, nikim więcej nie rozmawia. Peter tam nie przyjdzie. To poza linią.

— Linią? Jaka. . .

— Tu jest Jego strefa. Będzie pan bezpieczny do czasu, aż to rozgryzę i postanowię, co robić dalej. Są w tym wszystkim pewne elementy, których znaczenia nie rozumiem. — Obróciła delikatnie Bartona o sto osiemdziesiąt stopni i pchnęła przed siebie. — Proszę iść!

Popatrzyła za nimi i kiedy upewniła się, że przekroczyli bezpiecznie linię i poszli w górę w kierunku Domu Cieni, ruszyła pędem w stronę centrum miasta. Musiała się śpieszyć. Peter mógł już coś podejrzewać, szukając swojego golega i zastanawiając się, dlaczego go jeszcze nie ma.

Poklepała się delikatnie po kieszeni i w tym samym momencie poczuła na sobie dotyk ogromnej chropawej tkaniny. Nadal nie była oswojona z przebywaniem w dwóch miejscach naraz.

Zamajaczyła przed nią ulica Jeffersona. Biegła co sił, z rozpuszczonymi włosami, ciężko dysząc. Jedną ręką podtrzymywała kieszeń; byłoby źle, gdyby jej maleńkie wcielenie wypadło i uległo uszkodzeniu.

Dotarła do pensjonatu. Na werandzie znajdowało się kilka osób, które szukały tu ulgi w chłodzie i ciemności. Skręciła w podjazd i obiegłszy pensjonat, pomknęła przez pole w kierunku stodoły. Nagle ujrzała to coś: gigantyczny, złowieszczy kształt na tle nocnego nieba. Kucnęła w cieniu za krzakiem, aby ochłonać i ocenić sytuację.

Peter był na pewno w środku. W swojej pracowni pełnej klatek, słoików i dzbanów z miękką gliną. Rozejrzała się uważnie dookoła, szukając jakiejś ćmy, którą mogłaby wysłać na zwiad. Nie zauważyła jednak żadnej; i tak zresztą nie miałyby ona wielkiej szansy się przedrzeć.

Ostrożnie rozchyliła kieszeń i wyjęła z niej swoje dziesięciocentymetrowe wcielenie. Nowy widok zajął miejsce obrazu szorstkiej tkaniny. Zamknęła swoje normalne oczy i skoncentrowała się maksymalnie na golemie. Zaczęła odczuwać dotyk swojej potężnej dłoni, olbrzymich palców dotykających jej ciała — były bardzo szorstkie.

Przenosząc uwagę z jednego ciała na drugie, była w stanie manipulować swoim wcieleniem na ziemi w odległości kilku metrów od stodoły. Niemal natychmiast golem znalazł się w strefie interferencji.

Mary usiadła w cieniu i zwinęła się ciasno w kłębek. Ta pozycja pozwalała jej maksymalnie skoncentrować się na golemie.

Golem przekroczył strefę interferencji nie zauważony. Ostrożnie podszedł do stodoły. Znajdowała się tam niewielka drabina, którą Peter zamontował specjalnie dla golemów. Rozejrzał się wokoło, szukając jej. Ściana stodoły, wykonana z ogromnych nie heblowanych desek, wznosiła się nad nią; jej szczyt niknął w ciemnościach na tle nieba. Była tak wielka, że Mary nie mogła dostrzec jej końców.

Po chwili zobaczyła drabinę. Kilka pajaków minęło ją, kiedy przerażona wspinała się po niej. Opuszczały się w pośpiechu na ziemię. W pewnej chwili przebiegło obok niej kilka szarych szczurów.

Wchodziła powoli. W dole, w gąszczu krzaków i winorośli wiły się węże. Peter wypuścił na noc wszystkie swoje zwierzęta. Obecna sytuacja musiała go naprawdę zaniepokoić. Dotarła do wejścia i zeszła z drabiny. Przed nią rozciągał się czarny tunel. A na jego końcu światło. Była w środku. Cmy jak dotąd nigdy nie trafiły tak daleko. To była pracownia Petera.

Golem zatrzymał się na moment. Unieruchomiła go u wejścia i przeniosła uwagę na swoje normalne ciało. Poczowała, że jest jej zimno, i cała zdrętwiała. Noc była chłodna; Mary nie mogła dalej tam leżeć.

Rozprostowała ręce i nogi i rozmasowała mięśnie. Golem mógł stać w stodole długo. Musiała znaleźć sobie jakieś miejsce, gdzie mogłaby przebywać dłużej i nie marznąć. Pomyślała o jednej z czynnych całą noc kafejek na ulicy Jeffersona. Mogła tam siedzieć i pić gorącą kawę, do czasu aż golem wykona swoje zadanie. Może nawet mają tam jeszcze placki i syrop, gazety i szafę grającą.

Przeszła ostrożnie przez krzaki w kierunku pola. Zadrżała z zimna i otuliła się szczelnie kurtką. Posiadanie dwóch ciał było zabawne, ale zbyt kłopotliwe i może nie warte. . .

Coś nieoczekiwanie spadło na nią. Szybko to strzepnęła. Był to pajak, który skoczył na nią z drzewa.

Potem spadały następne. Ostry ból przeszył jej policzek. Podskakiwała jak szalona i strącała je. Szary strumień przedarł się przez krzaki i zaczął wdrapywać się na nią.

Szczury. Pajaki spadały na nią całymi gromadami. Strzepywała je i krzyczała wniebogłosy. Szczurów przybywało; zanurzały w niej swoje żółte zęby. Ogarnięta paniką zaczęła uciekać w popłochu. Szczury podążyły za dziewczynką, czepiały się jej i wspinały na nią. Pajaki biegały po jej twarzy, między piersiami i pod pachami.

Potknęła się i upadła; owinęła się wokół niej winorośl. Coraz więcej szczurów rzucało się na nią. Całe stada. Pajaki spadały bezszelestnie ze wszystkich stron.

Wiła się i walczyła; jej całe ciało było jednym wielkim bólem. Lepkie pajęczyny oplatały jej twarz i oczy, dławili ją i oślepiali.

Podniosła się na kolana, podpełzła trochę i opadła na ziemię pod ciężarem zjadłych zwierząt. Zaryły się w niej aż do kości, wyzerając skórę i ciało. Jadły ją. Krzyczała z całych sił, ale pajęczyny dławili ją. Pająki wdarły się do jej ust, nosa; wszędzie, gdzie tylko mogły.

Dobiegł ją szelest z otaczających krzaków. Raczej czuła, niż widziała połyskujące, falujące ciała otaczające ją dookoła. Nie miała już oczu, nic, czym mogłaby patrzeć ani czym krzyczeć.

Wiedziała, że to koniec.

Była już martwa, kiedy węże miedzianki wślizgnęły się na jej leżące twarzą do ziemi ciało i zatopiły w nim zęby.

11

— Nie ruszać się! — rozkazał stanowczo doktor Meade. — I zachowywać się cicho.

Z cienia wynurzyła się groźna postać w płaszczu i kapeluszu. Karton i Christopher zatrzymali się ostrożnie i czekali, aż zbliży się do nich; szedł, mocno ściskając w ręku wycelowaną w nich czterdziestkę piątkę. Barton trzymał łyżkę do opon, gotowy na wszystko.

W oddali majaczył Dom Cieni. Drzwi wejściowe były otwarte. Większość okien ukazywała się jako żółte kwadraty; część pacjentów jeszcze nie spała. Duży plac za ogrodzeniem był nie oświetlony i wyglądał ponuro. Cedry rosnące na skraju wzgórza kołysały się i szeleściły w podmuchach chłodnego nocnego wiatru.

— Byłem w furgonetce — powiedział doktor Meade. — Widziałem, jak panowie idą pod górę. — Zaświecił Bartonowi latarką w oczy. — Przypominam sobie pana. Pan jest tym gościem z Nowego Jorku. Co tu panowie robią?

— Pańska córka powiedziała nam, abyśmy się do pana zgłosili — odezwał się Barton.

Meade wyprostował się.

— Mary? — zapytał. — Gdzie ona jest? Szukam jej. Wyszła pół godziny temu. Coś musiało się stać. — Zawahał się i po chwili odkładając strzelbę, dodał: — Wejdźcie panowie.

Weszli za nim do oświetlonego żółtym światłem korytarza, a następnie schodami do gabinetu. Meade zamknął drzwi i opuścił żaluzje. Odsunął na bok mikroskop i stos kart i usiadł na rogu swojego poplamionego kawą biurka.

— Jeździłem wszędzie, szukając Mary. Przejechałem całą ulicę Dudleya. — Meade utkwiał wzrok w Bartonie. — Widziałem park na Dudleya. Przedtem go tam nie było. Nie było go tam dziś rano. Skąd się tam wziął? Co się stało z tymi starymi sklepami?

— Nie ma pan racji — odezwał się Barton. — Ten park tam był. Osiemnaście lat temu.

Doktor Meade oblizał usta.

— Interesujące. Wiedzą może panowie, gdzie jest teraz moja córka?

— Teraz, nie. Skierowała nas tutaj i poszła dalej.

Zapadła cisza. Doktor Meade zdjął płaszcz i kapelusz i rzucił je na krzesło.

— Więc to panowie odtworzyli ten park, prawda? — odezwał się po chwili. — Któryś z panów ma dobrą pamięć. Wędrowcy też próbowali, ale nie udało im się.

Barton wciągnął głęboko powietrze.

— Ma pan na myśli. . .

— Wiedzą, że coś jest nie tak. Naszkicowali całe miasto. Chodzą co noc z zamkniętymi oczyma. Tam i z powrotem. Odtwarzają każdy szczegół znajdujący się pod tą powłoką. Ale to wszystko na nic, brak im czegoś istotnego.

— Chodzą z zamkniętymi oczyma? Dlaczego?

— Aby złudzenie na nich nie działało. Mogą je przenikać. Kiedy jednak tylko

otworzą oczy, stają się od razu jego elementem. Tego iluzyjnego miasta. Wiedzą, że to tylko iluzja, powłoka złudzenia. Nie mogą jednak się jej pozbyć.

— Dlaczego nie mogą?

Meade uśmiechnął się.

— Ponieważ sami zostali przekształceni. Byli tutaj, kiedy nastąpiła Zmiana.

— Kim są Wędrowcy? — zapytał Barton.

— To mieszkańcy dawnego miasta.

— Tak też myślałem.

— To ludzie, którzy nie zostali całkowicie przekształceni w czasie Zmiany. Ominęła wielu z nich. Kiedy Zmiana się dokonywała, ominęła ich w mniejszym lub większym stopniu, i Działała różnie.

— Ze mną też tak było — mruknął Christopher.

Meade zmierzył go wzrokiem.

— Tak, pan też jest Wędrowcem. Przy odrobinie ćwiczeń mógłby pan nauczyć się pokonywać złudzenie i spacerować nocami jak inni. Ale to będzie wszystko, na co będzie pana stać. Nie będzie pan mógł odtworzyć starego miasta. Jest pan przekształcony do pewnego stopnia, tak jak pozostali. — Przeniósł wzrok na Bartona, ciągnąc wolno: — Nikt z was nie ma idealnej pamięci.

— Ja mam — odparł Barton, rozumiejąc jego spojrzenie. — Mnie tu nie było. Wyjechałem stąd przed Zmianą.

Doktor Meade nic nie odpowiedział, ale jego spojrzenie mówiło dostatecznie wiele.

— Gdzie mogę znaleźć Wędrowców? — zapytał krótko Barton.

— Wszędzie — odrzekł wymijająco Meade. — Nie widział ich pan?

— Muszą skądś wychodzić. Są chyba w jakiś sposób zorganizowani i mają gdzieś siedzibę.

Twarz doktora przybrała wyraz niezdecydowania. Widać było, że toczy ze sobą walkę.

— Co pan robi, kiedy pan ich znajdzie? — zapytał.

— Odtworzymy wspólnie dawne miasto. Tak jak wyglądało. Odtworzymy je takim, jakie jest pod tą powłoką.

— Zrzucicie tę iluzję?

— Jeśli tylko zdołamy.

Meade pokiwał wolno głową.

— Pan może, panie Barton. Pańska pamięć nie jest nadwyrężona. Kiedy zobaczy pan mapy Wędrowców, będzie pan w stanie je skorygować... — przerwał i dodał po chwili:

— Chciałbym, aby odpowiedział mi pan na jedno pytanie. Dlaczego chce pan przywrócić dawne miasto?

— Ponieważ ono jest pierwotne i prawdziwe — odpowiedział bez namysłu Barton. — Wszyscy obecni mieszkańcy, domy, sklepy są iluzją. Prawdziwe miasto jest skryte za nimi.

— Czy nie przyszło panu do głowy, że może ktoś jest w pełni zadowolony z iluzji?

Przez chwilę Barton nie wiedział, o co mu chodzi, po czym zrozumiał.

— Mój Boże — westchnął.

Doktor Meade odwrócił się od niego.

— Słusznie. Ja jestem jednym z tych złudzeń. Nie jestem Wędrowcem. Nie

było mnie tu przed Zmianą; w każdym razie nie byłem tym, kim jestem. I nie chcę powrotu do poprzedniej postaci.

Wszystko zaczynało się stawać dla Bartona zrozumiałe.

— Nie tylko pan. Pańska córka, Mary, także. Urodziła się po Zmianie. Peter również. Jego matka. Ten facet w sklepie z artykułami metalowymi. Oni wszyscy. Wszyscy ci ludzie są złudzeniem.

— Tylko pan i ja — powiedział do Bartona Christopher. — Jedyne my jesteśmy prawdziwi.

— I Wędrowcy — dodał Barton. — Rozumiem pański punkt widzenia. Ale przecież w j a k i e j ś p o s t a c i istniał pan przed Zmianą. Kimś pan musiał być; nie wziął się pan przecież z niczego.

Na twarz doktora Meade'a malował się ból.

— Oczywiście. Ale kim? Panie Barton, wiem o tym od lat. Znam to miasto, jego mieszkańców. Wiem, że są imitacjami. Złudzeniami. Ale, do cholery, ja również jestem elementem tej iluzji. Boję się. Podoba mi się tu. Mam konkretną pracę, szpital i córkę. Żyję w zgodzie z mieszkańcami.

— Imitacjami mieszkańców.

Usta doktora Meade'a zacisnęły się żałośnie.

— W Biblii jest napisane: „Widzimy jak przez szkło”. Co mi to szkodzi? Może przedtem byłem gorszy. Nie wiem!

— Nic pan nie wie o swoim życiu przed Zmianą? — zapytał zaskoczony Barton. — Wędrowcy nie mogą nic panu na ten temat powiedzieć?

— Nie wiedzą. Wielu rzeczy nie pamiętają. — Meade spojrzął na Bartona błagalnie. — Próbowałem się tego dowiedzieć, ale nie udało mi się nic ustalić. Nie mam żadnego punktu zaczepienia.

— Jest na pewno wielu takich jak pan — odezwał się Christopher. — Wielu z nich nie będzie chciało powrotu do dawnej postaci.

— Gdzie leży przyczyna? — zapytał Barton. — Dlaczego nastąpiła Zmiana?

— Nie bardzo ją rozumiem — odparł doktor Meade. — To spór. Efekt jakiejś walki. Z regułami. C o ś w t a r g n ę ł o d o t e j d o l i n y. Osiemnaście lat temu znalazło tu słaby punkt. Jakąś ryse, przez którą przeniknęło. Zawsze próbowało. Jakieś dwie siły toczące odwieczny konflikt. Ten Ktoś stworzył to wszystko — ten świat. A potem przejął kontrolę. Wniknął i wszystko zmienił. Mam pomysły. — Doktor Meade podszedł do okna i podniósł żaluzję. — Jeśli wyjrzycie panowie przez to okno, to ich zobaczycie. Cały czas tam są. Cały czas trwają tam nieruchomo. Naprzeciwko siebie. On jest po tej stronie, a T a m t o po drugiej.

Barton wyjrzał za radą doktora Meade'a. Zagadkowe postacie wciąż tam były. Wyglądały tak samo jak wtedy, gdy oglądał je z kryjówki Petera.

— O n wychodzi ze słońca — powiedział Meade.

— Tak, widziałem w południe. Jego głowa była jedną wielką kulą światła.

— T a m t o wychodzi z zimna i mroku. Istnieli zawsze. Zbierałem różne rzeczy tu i tam, chcąc złożyć to wszystko w logiczną całość, ale nadal niewiele z tego rozumiem. Ta walka tu to zaledwie drobna część jakiejś większej. Mikroskopijna. Walczą ze sobą wszędzie. W całym wszechświecie. To po to istnieje wszechświat. Żeby mieli gdzie walczyć.

— Pole walki — mruknął Barton.

Okno wychodziło po stronie ciemności. Stronie T a m t e g o, mrocznego i zimnego. Widział go, stał tam. Niebotyczny. Jego głowa niknęła w przestrze-

ni kosmicznej. W odrętwiałej pustce, gdzie nie było życia, żadnych istot. Jedynie cisza i odwieczna próżnia.

I O n — ten ze słońc, płomiennych kul gazu, który wrzał i wytryskiwał strumieniami, rozjaśniając ciemność. Gorące płomienie przenikały pustkę i ogrzewały ją. Wypełniały przestrzeń ciepłem i ruchem. Odwieczna walka. Z jednej strony sterylna ciemność, cisza, zimno, bezruch i śmierć, a z drugiej — płomienne ciało życia. Oślepiające słońce, narodziny, tworzenie, świadomość i trwanie.

Kosmiczne bieguny.

— O n to Ormuzd — powiedział doktor Meade.

— A T a m t o?

— Mrok i śmierć. Chaos i zło. Usiłuje zniszczyć Jego prawo. Porządek i prawdę. Jego starożytne imię brzmi Aryman.

— Przypuszczam, że Ormuzd w końcu zwycięży — powiedział po chwili ciszy Barton.

— Według legendy On zatriumfuje i wchłonie Arymana. Ta walka trwa już miliardy lat i potrwa jeszcze przez kilka następnych.

— Ormuzd to budowniczy — powiedział Barton. — Aryman to niszczyciel.

— Tak — zgodził się doktor Meade.

— Stare miasto należy do Ormuzda. Aryman przyoblekł je mroczną mgłą ze złudzeń i iluzji.

— Tak — stwierdził po chwili wahania doktor Meade.

Barton sprężył się. Teraz albo nigdy, pomyślał.

— Gdzie możemy spotkać się z Wędrowcami?

Doktor Meade walczył ze sobą.

— Ja... — zaczął mówić, ale zmienił zamiar. Na jego twarzy pojawił się wyraz niezłomnego zdecydowania. — Nie mogę tego panu powiedzieć, panie Barton. Jeśli jest jakiś sposób, który pozwoli mi pozostać takim, jakim jestem, a także mojej córce...

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

— Doktorze, proszę mnie wpuścić — odezwał się kobiecy głos. — Mam ważne wiadomości.

Doktor spojrzął ze złością.

— To jedna z moich pacjentek. — Podszedł do drzwi i otworzył je z trzaskiem.

— Czego pani chce, do cholery?

Do środka weszła młoda kobieta. Miała blond włosy, pociągłą twarz; jej blade policzki oblały teraz rumieniec.

— Doktorze, pańska córka nie żyje. Zostaliśmy poinformowani o tym przez ómę. Napadnięto ją i uśmiercono po drugiej stronie granicy. Tuż za neutralną strefą, w pobliżu pracowni Petera.

Doktor Meade zadrżał; Barton i Christopher zareagowali równie gwałtownie. Barton poczuł, jak jego serce zamarło. Dziewczynka nie żyje. Peter ją zamordował. Coś innego jednak sprawiło, że podszedł szybko do drzwi i zamknął je z hukiem. To była jakby kropka nad „i” i Barton stwierdził, że czas przystąpić do działania.

Młoda kobieta, pacjentka doktora Meade’a, była jedną z dwojga Wędrowców,

którzy przeszli przez werandę pensjonatu państwa Trillingów. Tak więc w końcu znalazł przynajmniej jednego z nich, i to w samą porę.

Peter Trilling trącił nogą szczątki. Szczury ogryzały je hałaśliwie. Klóciły się, przepychały i warczały na siebie z chciwością. Zaskoczony nagłością tego wydarzenia patrzył na wszystko w zdumieniu. Po chwili skrzyżował ręce na piersi i oddalił się pogrążony w myślach.

Golemy były mocno podekscytowane. A pająki nie chciały wrócić do swoich słoików. Biegały podniecone po nim, gromadząc się na twarzy i rękach. Przybierające na sile piski golemów i szczurów przesywały jego uszy. Stworzenia czuły, że odniosły ważne zwycięstwo, i były żądne dalszych.

Podniósł jednego z węży i pogłaskał go po lśniącej skórze. N i e ż y ł a. Jednym nagłym pociągnięciem dotychczasowy układ sił uległ zmianie. Opuścił na ziemię węża i przyśpieszył kroku. Zbliżał się do ulicy Jeffersona i głównej części miasta. Czuł rosnące podniecenie. Coraz więcej myśli kłębiło się w jego głowie. Czyżby nadszedł właściwy czas? Czy nadszedł moment rozstrzygnięcia?

Obrócił się, aby spojrzeć na potężną ścianę otaczającą dolinę — wznoszące się wysoko na tle nieba góry. Był tam. Stał z rozchylonymi rękoma, rozsuniętymi stopami i głową nikiącą w mrocznej pustce, która wypełniała ciszą i bezruchem cały wszechświat.

Ów widok rozwiął jego ostatnie wątpliwości. Zawrócił i ruszył do pracowni przepelniony żądzą i niecierpliwością.

Grupka golemów podbiegła do niego w pośpiechu, przekrzykując się nawzajem. Inne nadbiegały z centrum miasta. Były mocno zaniepokojone; piskliwe głosy odbijały się echem, kiedy golemy wspinały się po jego ubraniu.

Chciały, aby coś zobaczył. Były przestraszone. Rozzłoszczony poszedł za nimi do miasta. Wszystkie ulice za rzędem opuszczonych domów tonęły w mroku. Czego chciały? Co chciały mu pokazać?

Zatrzymali się przy ulicy Dudleya. Z przodu coś połyskiwało i jarzyło się. Nie wiedział co to. Coś się tam działo, ale co? Słaba, lecz intensywna poświata otaczała budynki, sklepy, słupy telefoniczne, a nawet nawierzchnię ulicy. Zaciekawiony ruszył do przodu.

Jakaś bezkształtna masa leżała na nawierzchni ulicy. Pochylił się nad nią niespokojnie. Glina. Bezwładny kawałek gliny. Niedaleko leżały następne; wszystkie nieruchome, martwe. Zimne. Podniósł jeden z nich do góry.

To był golem. A raczej to, co kiedyś było golemem. Nie żył. Niewiarygodne, ale został obrócony w pierwotną, pozbawioną życia formę. To była znowu martwa glina. Glina, z której ich tworzył. Sucha, bezkształtna i całkowicie pozbawiona życia. Była odgolemiona.

Coś takiego nigdy dotąd się nie wydarzyło. Jego wciąż żywe golemy cofnęły się z przerażeniem, widząc swych martwych braci. To po to go tu sprowadziły.

Zdumiony Peter ruszył w kierunku opalizującej poświaty, która rozprzestrzeniała się bezdźwięcznie z budynku na budynek. Ten jarzący się krąg rozszerzał się z każdą chwilą. Był zaskakująco intensywny. Nie omijał niczego. Posuwał się naprzód jak gigantyczna fala i pochłaniał wszystko, co znajdowało się na jego drodze.

W samym środku kręgu znajdował się park. Ze ścieżkami, ławkami i starą armatą. Masztem. I jakimś budynkiem.

Peter nigdy dotąd tego nie widział. Tutaj nie było żadnego parku! Co to wszystko znaczy? Co się stało z tymi opuszczonymi sklepami?

Zagarnął wszystkie żywe golemy i zgniół ich stawiające opór, popiskujące ciała w jedną masę. Kula żywej gliny wiła się, kiedy pośpiesznie ją przekształcał. Uformował głowę bez reszty ciała. Oczy, nos, potem usta, język, zęby, podniebienie i wargi. Postawił ją na nawierzchni i docisnął końce szyi tak, aby mogła stać.

— Kiedy to się zaczęło? — zapytał.

Kilka umysłów uzgodniło swoje wspomnienia i usta przemówiły stęklwym głosem:

— Godzinę temu.

— Te, które zostały odgolemione. Jak to się stało? Kto to zrobił?

— Weszły do parku. Chciały przez niego przejść.

— I to je odgolemiło?

— Wyszły, powłócząc nogami. Były osłabione. Potem upadły i zmarły. Baliśmy się podejść bliżej.

Więc była to prawda. To sprawka tego rozszerzającego się kręgu. Zgniół głowę w niekształtną masę i włożył ją do kieszeni. Głina miotała się pełna wigo-ru, trącąc go w nogi. Peter wyprostował się ostrożnie. Krąg ognistego światła rozprzestrzeniał się nieprzerwanie. Ogarniał coraz to nowe budynki. Rósł bezdźwięcznie. Zagroził wszystkiemu wokół.

I nagle Peter zrozumiał.

Ta poświata nie niszczyła. Ona zmieniała. Pochłaniała rzeczy, które napotkała na swojej drodze, a na ich miejscu pojawiały się nowe kształty. Wynurzały się z niej nowe formy. Obiekty, których nigdy nie widział. Całkowicie mu nie znane. Obce dla niego.

Stał przez dłuższą chwilę, przyglądając się pochodowi poświaty, podczas gdy golemy tręcały go nerwowo, chcąc, aby je wypuścił. Poświata zbliżała się do niego, więc zrobił kilka kroków do tyłu.

Był podniecony. Ogarnęła go radość i zadowolenie. Czas więc nadszedł. Najpierw jej śmierć, a teraz to. Równowaga została zachwiana. Granica nie miała już znaczenia.

Pierwotne kształty wynurzały się na zewnątrz. Wracał z otchłani do życia. To był ostatni element. Ta ostatnia rzecz, której mu brakowało.

Szybko podjął decyzję. Pośpiesznie wyjął z kieszeni wijącą się glinę, wykonał głęboki oddech i kucnął. Obejrzał się za siebie i spojrzął do góry na wznoszący się ku niebu mroczny kształt. Ten widok nappełnił go mocą; mocą, której właśnie potrzebował.

Ruszył ku ogarniającym wszystko językom ognia.

12

Wędrowcy patrzyli z przejęciem, jak Barton poprawia ostatnie szkice.

— To jest źle — mruknął. Skreślił ołówkiem całą ulicę. — Tu była aleja Lawtona. I te budynki są źle naniesione. — Zamyślił się. — Tu była mała piekarnia. Z zielonym szyldem. Własność niejakiego Olivera. — Wziął spis ludności i przebiegł go palcem. — Jego także opuściliście.

Christopher stał za nim, zaglądając mu przez ramię.

— Czy tam nie pracowała taka młoda dziewczyna? Zdaje się, że przypominam sobie tęą dziewczynę. W okularach i z grubymi nogami. Była jego bratanicą czy coś w tym rodzaju. Julia Oliver.

— Słusznie. — Barton skończył poprawki. — Co najmniej w dwudziestu procentach wasze szkice są niewłaściwe. Nasza praca nad parkiem pokazała, że musimy być bardzo dokładni.

— Niech pan nie zapomni o tym starym, dużym, brązowym domu — zawołał Christopher. — Był tam pies, niewielki krótkowłosey terier. Kiedyś ugryzł mnie w kostkę. — Pochylił się i pomacał po nodze. — Ta blizna zniknęła w trakcie Zmiany. — Na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. — Jestem pewny, że zostałem tu ugryziony. A może...

— Chyba był pan — powiedział Barton.

— Przypominam sobie krótkowłosego szpica na tej ulicy. Uwzględnię go.

Doktor Meade stał w kącie pokoju, smutny i oszołomiony. Wędrowcy krzatali się wokół długiego stołu, podając sobie tam i z powrotem szkice i wykazy. Cały budynek tętnił życiem. Znajdowali się tu wszyscy Wędrowcy w podomkach, kapciach i piżamach. Byli podekscytowani i czujni; wiedzieli, że nadszedł właściwy czas.

Barton wstał od stołu i podszedł do doktora Meade'a.

— Cały czas wiedział pan o tym. I dlatego zgromadził pan ich tutaj u siebie.

Doktor Meade przytaknął.

— Wszystkich, których zdołałem zidentyfikować. Przegapiłem Christophera.

— Dlaczego pan to zrobił?

Zrozpaczona twarz doktora Meade'a wykrzywiła się.

— Oni nie należą do tego miejsca. I...

— I co?

— I wiedziałem, że są tymi właściwymi. Widziałem, jak wałęsają się po Milgate. Beładnie. Bez celu. Myśląc, że zwariowali. Sprowadziłem ich tutaj.

— To wszystko. Już nic więcej pan nie robi.

Meade bezsilnie zaciskał i otwierał dłonie.

— Powinienem był działać. Powinienem był powstrzymać tego gnojka. On za to zapłaci, panie Barton. Sprawię, że będzie cierpiał jak nigdy dotąd.

Barton wrócił do stołu kreślarskiego. Hilda, przywódczyni Wędrowców, przywołała go do swojego biurka.

— Poprawiliśmy je. Jest pan pewny tych wszystkich poprawek? Nie ma pan co do nich żadnych wątpliwości?

— Żadnych.

— Musi pan zrozumieć. Nasze wspomnienia są mętne i zniekształcone. Nie tak wyraźne jak pańskie. W najlepszym przypadku pamiętamy jedynie nikłe fragmenty miasta sprzed Zmiany.

— Miał pan szczęście, że pan stąd wyjechał — mruknęła jakaś młoda kobieta przyglądająca się mu uważnie.

— Widzieliśmy park — odezwał się siwowłosa mężczyzna w okularach.

— Coś takiego nigdy się nam nie udało.

— Nikt z nas nie ma nie skażonej pamięci — odezwał się inny mężczyzna, w zamyśleniu strzepując popiół z papierosa. — Tylko pan, panie Barton. Jest pan jedyny.

W pokoju panowało napięcie. Wszyscy Wędrowcy przerwali swoją pracę. Otoczyli Bartona ciasnym pierścieniem. Na ich twarzach malowała się śmiertelna powaga.

Jedna ściana pokoju cała była zastawiona kartotekami. Stosami wykresów i raportów, niezliczonymi stertami danych i rejestrów. Były także maszyny do pisania, ołówki, rzyzy papieru, zdjęcia przyklejone do ściany. Płytki materiałów ceramicznych. Przestrzenny model miasta. Farby, pędzle, barwniki, kleje i sprzęt kreślarski. Suwaki logarytmiczne, taśmy miernicze, obciążki i piły.

Wędrowcy pracowali tu od dawna. Było ich niewielu; w stosunku do całego miasta stanowili nieliczną grupę. Ich twarze były jednak pełne zdecydowania. Liczyli na efekty swojej pracy. Nie chcieli, aby coś pokrzyżowało ich plany.

— Chcę pana o coś zapytać — powiedziała spokojnie Hilda. Trzymany przez nią między palcami papieros palił się niezauważalnie. — Powiedział pan, że wyjechał pan w 1935 roku. Kiedy był pan dzieckiem. Czy to prawda?

— Tak — przytaknął Barton.

— I cały czas tu pana nie było?

— Zgadza się.

Cichy pomruk wypełnił pokój. Barton poczuł się nieswojo. Zaciśnął dłoń na łyżce do opon i czekał.

— Wie pan — ciągnęła dalej Hilda, starannie dobierając słowa — że przez drogę prowadzącą do miasta, mniej więcej w odległości trzech kilometrów od niego przechodzi bariera?

— Wiem — odparł Barton.

Wszyscy skupili wzrok na Bartonie, kiedy Hilda mówiła do niego.

— Więc jak się pan dostał do tej doliny? Ta bariera cały czas nas przecież odgradza. A także wszystkich z zewnątrz.

— To prawda — przyznał Barton.

— Ktoś musiał pomóc panu tu się dostać. — Hilda odrzuciła nagle swojego papierosa. — Ktoś, kto posiada wielką moc. Kto to był?

— Nie wiem.

— Wyrzucimy go stąd — powiedział jeden z Wędrowców, stając na równe nogi. — Albo jeszcze lepiej. . .

— Zaczekaj — powstrzymała go gestem ręki Hilda. — Panie Barton, pracowaliśmy nad tym całym latami. Nie możemy ryzykować. Być może ktoś tu pana przysłał, aby pan nam pomógł albo przeszkodził. Jedno wiemy na pewno. Pan nie przybył tu samodzielnie. Ktoś panu pomógł. I jest pan nadal pod kontrolą tego kogoś.

— Tak, to prawda — zgodził się Barton. — Ktoś mi pomógł. Zostałem przepuszczony przez barierę. I prawdopodobnie ktoś nadal mną manipuluje. Ale to wszystko, co wiem.

— Załatwmy go — powiedziała smukła szatynka i spojrzała na niego spokojnie. — To jedyny sposób, aby się upewnić. Jeśli nie chce nam powiedzieć, czym jest agentem. . .

— Bzdura! — zaproponował tęgi mężczyzna w średnim wieku.

— Odtworzył park, prawda? Poprawił nasze szkice.

— Poprawił! — Wzrok Hildy przygasł. — Może zmienił. Skąd możemy wiedzieć, że je poprawił?

Barton zwilżył usta.

— Chwileczkę — zaczął. — Co mam powiedzieć? Skoro nie wiem, kto mnie tu wpuścił, to jak, do cholery, mam wam to powiedzieć?

Doktor Meade wszedł między Bartona i Hildę.

— Zamknijcie się i posłuchajcie. — Zazgrzytał zębami. — Obydwoje.

Jego głos był stanowczy.

— Barton nic nie może wam powiedzieć. Może został podstawiony i przysłany tu, aby pokrzyżować wasze plany. To możliwe. Może być sztucznym tworem, supergolem. Tego się nie da rozstrzygnąć, przynajmniej teraz. Być może później, kiedy nastąpi rekonstrukcja. Jeśli rzeczywiście się ona wam uda, dowiecie się prawdy. Ale nie teraz.

— Potem będzie za późno — rzuciła szczupła szatynka.

— Tak — przyznał doktor Meade. — Zdecydowanie za późno. Jak tylko zaczniecie, wszystko ruszy. Nie będziecie w stanie już tego odwrócić. Jeśli Barton jest podstawiony, będziecie skończeni. — Uśmiechnął się smutno. — Nawet pan Barton nie wie, co robi, kiedy nadejdzie właściwy czas.

— Do czego pan zmierza, doktorze? — zapytał szczupły Wędrowiec o pociągłej twarzy.

Doktor Meade odpowiedział bez ogródek.

— Musicie spróbować bez względu na to, czy się wam to podoba czy nie. Nie macie wyboru. On jest jedynym, który potrafi dokonać rekonstrukcji. Zrekonstruował cały park w pół godziny, a wy w ciągu osiemnastu lat.

Zapadła odrętwiała cisza.

— Jesteście bezsilni — ciągnął doktor Meade. — Wszyscy. Tak jak ja zostaliście przekształceni. On nie. Musicie mu zaufać. Macie do wyboru spróbować albo siedzieć tu ze swoimi bezużytecznymi mapami i czekać, aż osiągnie was śmierć.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odezwał. Wędrowcy siedzieli sztywni, zaszkowani.

— Tak — przemówiła w końcu szatynka. Odsunęła filiżankę z kawą na bok i odchyliła się do tyłu na krześle. — Doktor Meade ma rację. Nie mamy wyboru.

Hilda spojrzała kolejno na pobladłych mężczyzn i kobiety. Na wszystkich twarzach widziała ten sam wyraz. Bezsilną rezygnację.

— W porządku — powiedziała. — Więc do roboty. Im szybciej, tym lepiej. Wątpię, czy starczy nam czasu.

Szybko rozebrali drewniane ogrodzenie i oczyścili powierzchnię zbocza, ścinając cedry i krzaki. Usunięto wszystko, co mogłoby zasłaniać widok. W ciągu godziny mieli pełny obraz na doliny i leżącego na jej dnie Millgate.

Barton chodził niespokojnie wokoło, wymachując łyżką do opon. Mapy i szki-

ce leżały starannie rozłożone na ziemi. Przedstawiwały szczegółowo dawne miasto; nie opuszczono nic, co mogło mieć jakiegokolwiek znaczenie. Wędrowcy ustawili się wokoło map twarzami do środka. W dół i w górę zbrocza latały ćmy, nosząc wieści z doliny.

— Jesteśmy ograniczeni przez noc — powiedziała Hilda do Bartona. — Pszczoły się nie nadają, muchy z kolei są ospałe i otumanione.

— Czy to znaczy, że mogą być trudności w ocenie sytuacji tam na dole?

— Chyba tak. Na ćmach nie można polegać. Jak tylko wszędzie słońce, przylecą pszczoły. Są lepsze do tego celu. . .

— Co mówią o Peterze?

— Nic. Nie mamy żadnych raportów na jego temat. Zgubiły go.

Spojrzała zaniepokojona.

— Mówią, że zniknął. Nagle, bez ostrzeżenia. Brak jakiegokolwiek śladów po nim.

— Wiedziałyby, gdyby zbliżył się tutaj?

— Gdyby tu szedł, byłby zapewne chroniony. Najpierw wysłałby pająki, aby uprzedły sieci do przechwycenia ciem. One panicznie boją się pajaków. Rozmnożył ich setki w swojej pracowni. Ma ich całe słoje specjalnie do tego celu.

— Na co jeszcze możemy liczyć?

— Na koty, jeśli się tu zjawią. Są nie zorganizowane. Robią tylko to, na co mają ochotę. Przychodzą wtedy, kiedy chcą. Tak naprawdę możemy liczyć tylko na pszczoły. Ale one będą tu dopiero za kilka godzin.

W dole światła Millgate migotały przyćmione poranną szarówką. Barton spojrział na zegarek. Była trzecia trzydzieści. Zimno i ciemno. Niebo przysłonięte warstwą złowieszczej mgły. Sytuacja nie przedstawiała się najlepiej. Ćmy zgubiły Petera; był w ruchu. Zdążył już zabić tę dziewczynkę. Był sprytny; wiedział, jak pozbyć się ciem nawet o tej porze. I tropił właśnie Bartona.

— Jak on w to wszystko wszedł? — zapytał Barton.

— Kto, Peter? — Hilda potrząsnęła głową. — Nie wiemy. Ma ogromną moc i nigdy nie udało nam się do niego zbliżyć. Mary go kontrolowała. Ona także miała ogromną moc. Nigdy ich nie rozumieliśmy. My, Wędrowcy, jesteśmy normalnymi ludźmi starającymi się ze wszystkich sił odzyskać nasze miasto.

Ustawieni w krąg Wędrowcy byli gotowi przystąpić do pierwszej próby podniesienia warstwy iluzji. Barton zajął swoje miejsce i szybko sprzęgł się z pozostałymi. Twarze wszystkich zwrócone były na rozłożone na ziemi mapy pokryte kropelkami porannej rosy. Oświetlało je rozproszone przez mgłę światło gwiazd.

— Te mapy — powiedziała Hilda — należy traktować jako odpowiednie symbole obszaru tam w dole. Aby nam się udało, musimy zastosować główną zasadę U-kinetyki: s y m b o l j e s t r ó w n o w a ż n y z t y m , c o o n p r z e d s t a w i a. Jeśli symbol jest właściwy, wówczas można go traktować jak obiekt, który przedstawia. Wszelkie różnice między nimi są sprawą logiki.

U-kinetyka to właściwy termin dla tego archaicznego, pozaczasowego procesu magii. Oddziaływanie na prawdziwe obiekty za pośrednictwem ich symboli lub nazw. Mapy Millgate były odpowiednikiem samego miasta, ponieważ były precyzyjnie wykreślone i wszelkie oddziaływanie na nie wywoływało skutek w samym mieście. Jak woskowa lalka przedstawiająca daną osobę, te mapy przedstawiały miasto. Jeśli były one wierne, niepowodzenie się nie trafiało.

— Zaczynamy — powiedziała Hilda.

Dała znak ręką i zespół konstruktorów zaczął montować przestrzenny model na części mapy.

Barton usiadł z nachmurzoną miną na swoim miejscu, uderzając łyżką o ziemię, i patrzył, jak modelarze budują idealną kopię dawnego miasta. Domy powstawały jeden po drugim i po pomalowaniu i odpowiednim wykończeniu były umieszczane na swoich miejscach. Jego myśli były jednak gdzie indziej. Myślał o Mary. Z rosnącym niepokojem starał się przeniknąć plany Petera.

Zaczęły napływać pierwsze raporty od ciem. Hilda wysłuchiwała relacji otaczających ją pierścieniem owadów, ściągnęła usta i po chwili powiedziała do Bartona:

— Niedobrze.

— Co się stało?

— Nie uzyskujemy właściwych efektów.

Niespokojny pomruk przebiegł wzdłuż kręgu Wędrowców. Coraz więcej budynków, ulic, sklepów, domów jednorodzinnych i maleńkich mieszkańców miasta zajmowało w pośpiechu swoje miejsca na planie.

— Pomińmy rejon ulicy Dudleya — powiedziała Hilda. — Rekonstrukcja pana Bartona rozciąga się już na odległość trzech lub czterech bloków od parku. Większa część tego rejonu jest już odtworzona.

Barton zamrugał oczyma.

— Jak to się stało?

— Widok dawnego parku wywołuje wspomnienia u ludzi i przywołuje świadomość istnienia dawnego miasta. Dokonawszy wyłomu w jednym miejscu w warstwie iluzji, zapoczątkował pan reakcję łańcuchową, która ogarnie w końcu całą imitację miasta.

— Może to wystarczy.

— Normalnie pewnie tak. Ale dzieje się coś złego. — Hilda obróciła głowę, aby wysłuchać nowej serii raportów przyniesionych przez ćmy. Wyraz zaniepokojenia na jej twarzy pogłębił się. — To źle — mruknęła.

— Co źle? — zapytał Barton.

— Według ostatnich informacji krąg pańskiej rekonstrukcji zaczyna maleć. Jest neutralizowany.

Bartona ogarnęła trwoga.

— Myśli pani, że zostaniemy powstrzymani? Coś nam przeciwdziała?

Hilda nic nie odpowiedziała. Krąg szarych ciem trzepotał wokół jej głowy. Odwróciła się twarzą do Bartona, aby ich wysłuchać.

— To staje się coraz poważniejsze — powiedziała, kiedy ćmy odleciały.

Barton nie musiał jej słuchać, jej twarz mówiła mu wszystko.

— Tak więc możemy się nie trudzić — powiedział gorzko. — Jeśli jest tak źle...

— Co się dzieje? — wtrącił się Christopher. — To nie działa?

— Napotkaliśmy opór — odrzekł Barton. — Udało im się zneutralizować naszą zrekonstruowaną strefę.

— Jeszcze gorzej — powiedziała cicho Hilda. — Coś wysysa naszą energię U. Ta strefa zaczęła się kurczyć. — Na jej ustach pojawił się nikły ironiczny uśmiech. — Spróbowaliśmy. Postawiliśmy na pana, panie Barton. I przegraliśmy. Pański piękny park nie utrzymuje się. Jest ładny, ale nietrwały. Zmuszają nas do odwrotu.

13

Barton wstał ciężko i wyszedł z kręgu chwiejnym krokiem. Otoczony rojem ciem szedł niemal po omacku z boczem wzgórza, w panującym półmroku, trzymając ręce w kieszeniach pomiętego garnituru.

Przegrywali. Próba rekonstrukcji kończyła się niepowodzeniem.

W oddali, po drugiej stronie doliny widział na tle nocnego nieba mglistą, gigantyczną postać Arymana — kosmicznego niszczyciela, który trzymał nad nimi rozchylone ręce. Gdzie, u diabła, był Ormuzd? Barton odchylił głowę, chcąc spojrzeć w górę. Pewnie był tutaj; ten grzbiet górski był nawet chyba Jego kolaniem. Dlaczego nic nie robił? Co go powstrzymywało?

W dole migotały światła miasta. Miasto-złudzenie, iluzja, którą Aryman narzucił osiemnaście lat temu w dniu Zmiany. Tego dnia wielki plan Ormuzda został zakłócony bez oporu z Jego strony. Dlaczego pozwolił na to Arymanowi? Czyżby było Mu to obojętne?

— To odwieczny problem — odezwał się z cienia doktor Meade. — Jeśli Bóg stworzył ten świat, skąd pochodzi zło. . .

— Właśnie tam stoi — powiedział z rezygnacją Barton. — Jak gigantyczna wyrzeźbiona skała, podczas gdy my z całych sił staramy się odtworzyć rzeczy takimi, jakimi stworzył je Ormuzd. Myśli pan, że On nam pomoże?

— Nie zbadane są Jego zamiary.

— Widzę, że pana to zbytnio nie martwi.

— Wręcz przeciwnie. Obchodzi mnie to tak bardzo, że aż boję się o tym mówić.

— Może nadchodzi właśnie pańska szansa.

— Mam nadzieję — powiedział doktor Meade i dodał po chwili: — Jest źle.

— Tak. Zostaliśmy pokonani. Wydaje mi się, że moja pomoc na niewiele się zdała. Nadszedł kryzys i nie mogę na to nic poradzić.

— Dlaczego?

— Mam za małą moc. Ktoś wmieszał się między nasz model a obiekt. Odciał nas. Cofa to, co dotychczas zrekonstruowaliśmy.

— Kto?

— Przecież pan wie. — Barton wskazał na miasto i wzgórze, na którym stali. — Jest tam. Ze swoimi szczurami, pajakami i węzami.

Pięści doktora Meade'a zacisnęły się.

— Gdybym mógł go dostać w swoje ręce. . .

— Miał pan już swoją szansę. Zdaje się, że pana taki stan rzeczy satysfakcjonował.

— Panie Barton, to ze strachu. Nie chciałem wracać do dawnej postaci. — Doktor Meade spojrział z niepokojem. — Nadal się boję. Wiem, że dzieje się źle; chyba nie sądzi pan, że tego nie rozumiem? Nie mogę tego zrobić. Nie chcę, by wróciła przeszłość. Nie wiem dlaczego. Nawet nie wiem, kim byłem. Panie Barton, w chwili obecnej cieszy mnie wasze niepowodzenie. Rozumie pan? Cieszę się, że wszystko wraca do normy. Boże, czemu nie umarłem?

Barton nie słuchał. Patrzył na coś, co znajdowało się w połowie zбочa. Jakiś

szary obłok wznosił się wolno w górę. Drgał i falował, rosnąc z każdą chwilą. Co to takiego? Nie widział dokładnie w tym półmroku. Obłok zbliżał się coraz bardziej. Kilku Wędrowców wyszło z kręgu i spieszenie podchodziło do krawędzi zbocza. Od strony obłoku dochodził cichy pomruk. Odległe brzęczenie.

Ćmy.

Kilka szarych kształtów zatrzepotało dziko obok Bartona, lecąc ku Hildzie. Ogromna kula ciem lecąca w panice w górę zbocza, w kierunku Wędrowców. Tysiące. Wszystkie, jakie tylko były w dolinie. Wracają razem. Dlaczego?

I wówczas zobaczył. W tym samym czasie pozostali Wędrowcy opuścili krąg i zgromadzili się przy krawędzi wzgórza. Hilda wykrzykiwała w pośpiechu rozkazy. Zapomnieli o rekonstrukcji. Błdzi i przestraszeni zebrali się razem. Ogarnięte paniką ćmy falowały nad nimi bezładnie.

Fragment pajęczyny przeleciał obok Bartona. Ledwie go odrzącił, kiedy zbita masa pajęczyn oblepiła mu twarz. Zgarnął je i odrzucił. W tym momencie spostrzegł pająki. Pędziły, przeskakując przez krzaki, w stronę wzgórza. Wyglądały jak wzbierająca szara woda, kosmata fala omywająca kolejne skały. Wyraźnie przyśpieszały.

Za nimi gnały szczury. Połyskiwały niezliczonymi oczyma i złowrogo szczyrzyły kły. W niewielkiej odległości za nimi sunęły węże. Niewykluczone, że pełzły inną drogą, ale bardziej prawdopodobne wydawało się, że podążały za szczurami.

Jedna z Wędrowniczek pisnęła, zachwiała się i upadła. Coś niewielkiego zeskoczyło z niej na następną osobę, która strząsnęła to i zrobiła krok do przodu. To był golem. Błysnęło coś białego, rozjaśniając panujący półmrok.

Uzbroił swoje golemy.

Robiło się niewesoło. Barton cofnął się razem z Wędrowcami. Golemy przechodziły przez krawędź zbocza nie dostrzeżone wcześniej przez nikogo. Ćmy obawiały się przede wszystkim pajaków i reszta ich nie obchodziła; zupełnie nie zauważyły biegnących figurek z ożywionej gliny. Duża grupa golemów natarła na Hildę. Wędrowniczka walczyła zaciekle, część rozdrapując, inne rozrywając na kawałki, a jeszcze inne rozgniałała, kiedy próbowały wspinać się po niej w kierunku twarzy.

Barton podbiegł i rozgniół część golemów, waląc w nie łyżką do opon. Pozostałe uciekły. Hilda zadrżała i zachwiała się na nogach, ale Barton złapał ją w porę, ratując przed upadkiem. Z jej rąk i nóg sterczały igły — włącznie golemów.

— Są tu wszędzie dokoła — mruknął Barton. — Nie mamy szans.

— Dokąd pójdziemy? W głąb doliny?

Barton rozejrzał się szybko. Fala pajaków przelewała się już przez krawędź. Wkrótce będą tu szczury. Coś chrupnęło pod jego nogą. Cofnął się. Wąż sunął w kierunku Hildy. Barton skrzywił się z niesmakiem i ruszył z miejsca.

Musieli się wycofać do domu. Wędrowcy walczyli dokoła, kopiąc i depcząc. Zmagali się z zaciskającym się pierścieniem żółtożółtych cieni i dziesięciocentymetrowych postaci z połyskującymi szpadami. Pająki nie stanowiły większego zagrożenia; przestraszyły ćmy i to było wszystko, na co je stać. Węże jednak. . .

Jeden z Wędrowców osunął się na ziemię, pokryty szarym gryzącym kobiercem. Były to szczury i golemy. Barton widział już wyraźniej, gdyż niebo przeszło z ciemnego fioleto w szarość. Wkrótce miało wzejść słońce.

Coś ukłuło Bartona w nogę. Rozgniół łyżką golema i cofnął się. Były wsze-

dzie. Szczury czepiały się mankietów jego spodni. Po jego rękach biegały kosmate pająki, chcąc go oplatać pajęczynami. Zerwał się do ucieczki.

W oddali dostrzegł jakąś postać. Z początku myślał, że to jeden z Wędrowców, lecz to nie był nikt z nich. Ten ktoś szedł razem z zajadłą hordą w górę zbocza. Wolno i niezdarnie włókł się za nimi. Dowodził, ale nie wspinał się zbyt dobrze.

W jednej chwili Barton zapomniał o atakujących go szczurach i golemach. Nic, co dotąd widział, nie było dla niego takim zaskoczeniem. Minęła chwila, zanim zrozumiał wszystko.

Oczywiście spodziewał się tu Petera. Nawet zastanawiał się, kiedy się pokaże. Ten jednak by) dotąd na dnie doliny. Poruszył go widok parku, całej rekonstrukcji, która się rozprzestrzeniała.

Peter pojawił się po Zmianie. Postać, którą znał Barton, była złudzeniem. To, co falowało i drgało przed nim, było kiedyś Peterem. Było jego fantomem, który teraz zniknął. Pozostała tylko jego forma. Została zrekonstruowana.

To był Aryman.

Wszyscy wokół rozpierzchli się. Wędrowcy jeden po drugim uciekali w panice w stronę Domu Cieni. Hilda zniknęła z pola widzenia, przesłonięta sunącą wolno szarą ścianą; Christopher przepychał się wraz z innymi Wędrowcami w kierunku drzwi wejściowych. Doktor Meade mocował się z drzwiami furgonetki, chcąc je otworzyć. Ci, którzy zdążyli wejść do Domu Cieni, barykadowali się w pokojach. Takie rozdzielanie się było bez sensu. Zostaną wszyscy wyłapani jeden po drugim.

Cofając się, Barton rozdeptywał golemi i szczury i wymachiwał wściekle łyżką do opon. Aryman był ogromny. W postaci chłopca był niegroźny, łatwy do pokonania. Teraz nic go nie mogło powstrzymać. Rósł w oczach. Był kipiącą, pęczniejącą szarozółtą galareta, pełną nieczystości. Gęsta grzywa splątanych włosów unosiła się i opadała, kiedy posuwał się do przodu. Kawałkami siebie znaczył drogę, którą szedł niczym kosmiczny ślimak ociekający śluzem i mułem.

Cały czas się żywił. Pęczniał, pochłaniając wszystko, co napotkał na swojej drodze. Jego macki chwytaly Wędrowców, golemi, szczury i węże. Barton widział stos zwłok porzrzucanych beładnie w jego brzuchu, znajdujących się w różnych stopniach rozkładu. Sunął do przodu i wchłaniał wszystko, co żywe. Obracał życie w martwy pył.

Aryman wchłaniał istnienie i wydychał odrętwiający chłód kosmicznej pustki. Lodowaty, szczypiący wiatr. Tchnienie śmierci i próżni. Czuć było smród, mdlący odór, który był jego naturalnym zapachem. Rozkład i śmierć. Nadal rósł. Zaraz nie zmieści się w tej dolinie. Cały świat będzie niedługo dla niego za mały.

Barton uciekał. Przeskoczył szereg golemów i wbiegł między drzewa, ogromne cedry rosnące nieopodal Domu Cieni.

Pająki spadały na niego całymi chmarami. Strzepywał je, biegnąc przed siebie na oślep. Za nim rosła gigantyczna postać Arymana. W istocie nie poruszał się. Zatrzymał się na skraju wzgórza. Wijąc się i skręcając, rósł coraz wyżej i wyżej niczym góra śmieci i kipiącej galarety. A kiedy tak rósł, chłód zaczynał spowijać wszystko wokół.

Barton zatrzymał się, aby złapać nieco tchu i zorientować się w położeniu. Znajdował się w niewielkim zagłębieniu za cedrami, tuż nad drogą. Cała dolina wynurzyła się w porannej krasie spod rozpościerającej się pod nim ciemności. Ale na pola, farmy i domy padał rozległy cień. Ciemniejszy niż ten, który się wznosił.

Cień Arymana, boga-niszczyciela, w jego naturalnej wielkości. I ten cień nigdy się nie podniesie.

Coś się poruszyło. Jakieś połyskujące ciało natarło na Bartona. Barton odskoczył przerażony. Wąż chybił i szykował się do ponownego ataku. Barton cisnął łyżką do opon. Trafił go w łeb i rozgniółł na miazgę.

Chwycił ponownie łyżkę. Węże kłębiły się wokoło. Minał całe ich gniazdo, skąd wdrapywały się po zboczu wzgórza. Szedł, stąpając po nich. Nagle wywrócił się i padł na tę syczącą, kłębiącą się masę.

Toczył się w dół zbocza po mokrym zielsku i winorośli. Próbował wstać; pająki nacierały i wskakiwały na niego, kłując go, gdzie popadnie. Walczył z nimi, zgarniając pajęczyny. W końcu udało mu się kłęknać.

Pomacał ręką w poszukiwaniu łyżki do opon. Gdzie się podziała? Czyżby ją stracił? Jego palce napotkały coś miękkiego. Sznurek. Kłębek sznurka. łyżka zniknęła. To był cios ostateczny. Ostatni symbol jego klęski. Zrozpaczony Ted wypuścił kłębek z ręki.

Jakiś golem wskoczył mu na plecy. Dostrzegł błysk światła odbitego od igły, która zawisała tuż nad jego okiem, gotowa wbić się w mózg. Uniósł omdlałe ręce, lecz nie zdołał ich podnieść wysoko, gdyż zaplątał się w pajęczyny. Zamknął bezradnie oczy. To był koniec. Poddał się. Przegrał. Leżał, czekając na cios. . .

14

— Panie Barton! — zapiszczał głos.

Barton otworzył oczy. Golem pośpiesznie ciął igłą pajęczynę. Przekłuł kilka pajaków, a inne odpędził, po czym wskoczył Bartonowi na kark blisko ucha.

— Cholera — pisnął. — Mówiłam panu, żeby pan nikomu o tym nie mówił. To nie był odpowiedni czas. Przeciwnik jeszcze za silny.

Barton zamrugął; był otumaniony.

— Kim? . . . — Otworzył usta i szybko je zamknął.

— Proszę być cicho. Zostało tylko kilka sekund. Pańska rekonstrukcja była przedwczesna. O mało pan wszystkiego nie zaprzepaścił. — Golem nagłym ruchem przeszył szarego szczura przymierzającego się do przegryzienia tętnicy za uchem Bartona. Szare ciało osunęło się wolno, wijąc się w konwulsjach. — Niech pan wstanie!

Barton zaczął się szamotać.

— Ale ja nie. . .

— Niech się pan pośpieszy! Teraz, kiedy Aryman się uwolnił, nie ma czasu do stracenia. Obecnie wszystkie chwytaki są dozwolone. Sam postanowił dostosować się do Zmiany, ale to już minęło.

Niewiarygodne, ale Barton poznał nagle ten głos. Był piskliwy, wysoki, ale podobny.

— M a r y! — krzyknął zdumiony. — Jak do diabła. . .

Czubek jej szpady ugodził go w policzek.

— Panie Barton, musi pan zrobić, co trzeba. Czekam pana jeszcze kawałek roboty.

— Czekam?

— On próbuje uciec w furgonetce. Nie chce wrócić do poprzedniej postaci. Ale m u s i! To jedyna droga. On jeden ma odpowiednią moc.

— Nie — powiedział niepewnie Barton. — Nie doktor Meade. Nie on!

Golem uniósł szpadę na wysokość oka Bartona i zastygł w bezruchu.

— Mojego ojca trzeba uwolnić. Ma pan dosyć mocy, aby tego dokonać.

— Nie doktora Meade'a — powtórzył Barton. — Nie mogę. . . — Potrząsnął głową. — M e a d e. A więc te cygara, wykałaczką i garnitur w prążki to była Jego maska!

— Wszystko zależy od pana. Widział pan jego prawdziwą postać. — Te ostatnie słowa zapadły głęboko w umysł Bartona. — To po to właśnie pana tu sprowadziłam. Nie dla zwykłej rekonstrukcji!

Jakiś wąż prześlizgnął się po nodze Bartona. Golem zeskoczył z ramienia Bartona i pomknął za nim. Barton spróbował wstać. Powstrzymujące go pajęczyny zostały rozcięte. Tuż obok pojawił się rój pszczoł. Zbliżał się dzień. Nadlatywały kolejne pszczoły. Teraz zajmą się szczurami i goleniami.

Nie bacząc na nic, potykając się co krok, Barton zbiegł ze stromego zbocza w kierunku drogi. Rozejrzał się wokoło. Doktorowi Meade'owi udało się uruchomić furgonetkę, którą niczym śmiertelnym całunem pokrywały ciałami szczury, golem i węże, usiłując dostać się do wnętrza. Meade jechał drogą wolno, na wy-

czucie. Pokonał pierwszy zakręt, wyjechawszy jednym kołem poza skraj drogi. Szybko wyrównał i ruszył dalej.

Za nim, a właściwie nad nim wciąż rosła ospała, odrażająca postać Arymana. Jego macki wiły się, zataczając coraz szerszy krąg, szukały po omacku, chwyciły i wrzucały swój tup do galaretowatego wnętrza. Smród był tak przenikliwy, że Bartona aż zemdliło. Postać Arymana rozrosła się do przerażających rozmiarów. Barton dotarł już do drogi. Samochód przyspieszył. Kołysał się na boki, minął zakręt i wyrznął w ogrodzenie. Szczury i golemu odrzucone poleciały na wszystkie strony. Furgonetka zadrżała i zgrzytając, ruszyła dalej.

Barton uniósł leżący obok głaz. Nie było innego sposobu. Nie zdążyłby się przedrzeć przez ten szary, kłębiący się kobierzec, a samochód za kilka sekund mógł go minąć. Kucnął, patrząc, jak samochód mknie w jego kierunku; oparł się o głaz i z całej siły pchnął go.

Głaz zrobił swoje. Trafił w dach, zakołysał się i ześlizgnął, rozbijając szybę z lewej strony. Odłamki szkła rozsypały się wokoło. Furgonetka skręciła gwałtownie i zaryła w zboczu przyległym do drogi. Z pękniętego silnika trysnęła woda i benzyna. Szczury i pająki zaczęły wdzierać się przez dziurę powstałą w szybie, zadowolone z okazji, jaka się im nadarzyła.

Doktor Meade wypetłzył z furgonetki; Barton z trudem go poznał. Na jego twarzy widać było przerażenie. Uciekał w pośpiechu, chcąc znaleźć się jak najdalej od samochodu. Miał porwane ubranie i podrapaną w wielu miejscach skórę. Nie zauważył Bartona, dopóki nie zderzył się z nim.

— Meade — warknął Barton. Chwycił go za kołnierz i pochylił się nad nim. — Niech pan spojrzy na mnie.

Skierowane na Bartona oczy doktora Meade'a zabłyśły nagle, kiedy Barton szarpnął nim, aby go zatrzymać. Sapał jak gonione zwierzę. Był na wskroś przerażony. Bartona zbytnio to nie zdziwiło. Drogą sunęła żądna mordy fala szarych kształtów, a za nią rósł nieprzerwanie mściwy cień Arymana.

— Panie Barton — zaskrzeczał doktor Meade. — Niech mnie pan, na Boga, nie zatrzymuje! — Wyrwał się, chcąc uciec. — One nas zabijają. Lepiej...

— Niech pan posłucha. — Barton patrzył na przerażoną twarz doktora Meade'a, niemal dotykając jej swoją. — Wiem, kim pan jest. Wiem, kim pan jest n a p r a w d ę.

Efekt tych słów był natychmiastowy. Ciało doktora Meade'a drgnęło, a usta otworzyły się.

— Kim ja... j e s t e m!

Barton skoncentrował się z całych sił. Uczepił się kołnierza doktora Meade'a i wyobraził sobie w najdrobniejszych szczegółach ogromną postać, tak jak ją ujrzał rano po raz pierwszy. Majestatyczną, niebotyczną, z rozchyłonymi rękoma i głową niknącą w słońcu.

— Tak — powiedział nieoczekiwanie doktor Meade dziwnie cichym głosem.

— Doktorze Meade — szepnął Barton. — Rozumie pan? Wie pan, kim pan jest? Czy zdaje pan sobie...

Meade szarpnął gwałtownie. Obrócił się niezgrabnie i chwiejąc się, pobiegł drogą zgarbiony jak zwierzę. Nagle wyprostował się. Rozchylił ręce, zadrżał na całym ciele i zakołysał się jak kukielka na wietrze. Jego twarz zafalowała. Wyglądała, jakby się topiła i zapadała do środka niczym bezkształtna kula wosku.

Barton ruszył za nim. Meade upadł. Przekoziółkował w boleściach i zaraz

podskoczył. Targnęły nim konwulsje, gwałtowne drgawki, które miały na oślepić jego kończynami i głową.

— Meade! — krzyknął Barton.

Chwycił go za ramię. Płaszcz dymił. Gryzący dym drażnił nos. Materiał rozerał się. Barton zakreślił Meade'em wokoło i złapał go za kołnierz.

To nie był Meade.

To nie był nikt, kogo do tej pory widział. Ani nic, co dotychczas widziały jego oczy. To nie był człowiek. Zniknęła twarz doktora Meade'a. To, co ujrzał, było masywne i odrażające. Widział to tylko przez ułamek sekundy. Dziób, niczym u jastrzębia, wąskie usta, dzikie szare oczy, rozszerzone nozdrza i długie ostre zęby.

Rozległ się przeraźliwy łoskot. Jakaś gigantyczna siła targnęła nim i omal rozgniotła na papkę. Nic nie widział. Był ogłuszony. Cały świat rozprysł się przed nim. Został obrócony i rozgnieciony. Przewrócony i porzucony. Uderzony oślepiającą pięścią, która przeniknęła go i przemieniła w pustkę.

Ta pustka otaczała go zewsząd. Spadał. Spadał długo, całkowicie nieważki. Mijały go różne rzeczy. Kule. Świecące kule. Usiłował je złapać, ale zignorowały go i podryfowały dalej.

Całe roje jarzących się kul migotały wokół niego. Przez chwilę myślał, że to ćmy, które trawił ogień. Machnął w ich kierunku, chcąc je odpędzić. Był bardzo zaskoczony.

Wkrótce zauważył, że jest sam, że wokół panuje kompletna cisza. Ale to nie było dziwne. Nie było nic, co mogłoby wydawać dźwięki, absolutnie nic. Nie było Ziemi. Nieba. Był tylko on. I ta bezkresna, parująca pustka.

Wokoło kapała woda. Ogromne, gorące krople, które syczały i kipiały ze wszystkich stron. Czuł grzmot; za daleko, aby go mógł usłyszeć, a poza tym nie miał uszu. Ani oczu. Ani czym odczuwać dotyk. Owe świecące kule nieprzerwanie pędziły przez ten wrzący deszcz. Teraz przemierzały to, co było jego ciałem.

Nagle wydało mu się, że rozpoznaje kule skupione w jednej grupie. Po niemożliwym do ustalenia czasie udało mu się ją zidentyfikować.

Plejady.

A więc to słońca pędziły obok i przez niego. Poczł niepokój. Próbował się skupić, ale było to daremne. Rozprzestrzeniał się za daleko, na biliony kilometrów. Był gazowy i niewyczuwalny, a także lekko świecący. Niczym międzygwiazdny obłok rozciągający się na gromady gwiazd i niezliczone systemy gwiazdne. Ale jak? Co go trzymało z... .

Wisiał. Na jednej nodze, głową w dół. Wił się i obracał w falującym morzu świecących się drobin, pośród roju malejących z każdą chwilą słońc.

Coraz więcej słońce mijało go, dążąc do niebytu. Jak przekłuty balon, owa przestrzeń, która była wszechświatem, syczała i kołysała się, szybko zaciskając się wokół niego. Ostatnie chwile jej istnienia minęły zbyt szybko, aby można je było śledzić; skurczyła się w jednej chwili i zniknęła. Nie było już dryfujących słońc i świecących mgławic — wszystko zniknęło. Był poza tym wszechświatem. Wisiał na prawej nodze. Co otaczało go teraz? Obrócił się i spróbował spojrzeć w górę. Ciemność. Postać. Trzymała go.

Ormuzd.

Był tak przerażony, że nie mógł wykrztusić ani słowa. Na dół daleko, nawet nie było widać, jak daleko. I nie istniał czas; będzie spadał całą wieczność, je-

śli Ormuzd go teraz puści. W tej samej chwili uzmysłowił sobie, że nie mógłby spadać. Nie było gdzie.

Uścisk zelżał. Machał rękoma, chcąc się czegoś uczepić. Próbował wypełznąć z powrotem; był jak przerażona małpa uciekająca do góry po linie. Wyciągał ręce, wodził nimi po omacku i błagał o litość. Na darmo. Nie widział nawet, kogo błagał. Czuł jedynie wszechobecność. Jakąś istotę. Tu był Ormuzd. Był wewnątrz Ormuzda. Modlił się, aby nie zostać wyrzuconym na zewnątrz. Aby Ormuzd go nie wypluł.

Czas stał w miejscu. Ale trwało to już jakąś chwilę. Jego strach zaczął się zmieniać. Działo się to łagodnie. Pamiętał, kim był. Był Tedem Bartonem. Gdzie był? Wisiał na prawej nodze poza wszechświatem. Kto go trzymał? Ormuzd, bóg, którego uwolnił.

Przeszył go srogi gniew. To on uwolnił Ormuzda. I znalazł się w jego mocy. Kiedy ten bóg rozrastał się, on został porwany razem z nim.

Ten bóg był pozbawiony emocji. Barton nie czuł nic z jego strony, żadnego współczucia. Miał całkowicie przejrzysty umysł. Tylko jedna myśl wypełniała teraz jego mózg. Rwała się na zewnątrz.

— Ormuzdzie! — Pomknęła w pustkę jego myśl i odbiła się echem, wprawiając go w drzenie. — Ormuzdzie! — Jego myśl przybrała na sile, uzyskała ciało i ciężar. — Ormuzdzie, odeślij mnie z powrotem!

Nie było reakcji.

— Ormuzdzie! — krzyknął. — Pamiętasz Millgate?

Cisza.

Nagle otaczająca go obecność zaczęła się rozrzedzać.

Poczuł, że spada, spada i spada. Ponownie świecące punkty krążyły wokół niego. Jego ciało skupiło się w jedną całość i spadało jak gorący deszcz.

A potem uderzył w coś.

Siła uderzenia była ogromna. Odbił się i zawył z bólu. Wokoło zaczęły się formować kształty. Czuł ciepło. Oślepiająco biały płomień. Niebo. Drzewa. I drogę pod sobą.

Leżał rozkrzyżowany na plecach. Horda szczurów i golemów Arymana mknęła ku niemu; słyszał ich wściekłe ujadanie. Czuł Ziemię, jej widoki, dźwięki i zapachy. Przypominał sobie tę scenę — wszystko wyglądało tak samo, jak w chwili, gdy został wchłonięty. Dom Cieni.

Czas zatrzymał się w miejscu. Pusta powłoka doktora Meade'a wciąż chwiała się przed nim. Wciąż stała na nogach, wyschnięta i porzucona. Po chwili pękła i przechyliła się do tyłu, po czym upadła i zamieniła się w proch; jak wszystko wokoło spaliło się, kiedy wytrysnął z niej strumień czystej energii.

— Dzięki Bogu — szepnął ochryple Barton.

Zatoczył się i padł jak długi. Łapczywe macki Arymana pełzły ku niemu po zboczu. Były już kilka metrów od niego. Dotykały zwęglonych zwłok szczurów, golemów i węży zniszczonych przez Ormuzda. Były tuż, tuż. Już miały rzucić się na Bartona, ale zabrakło im czasu.

Barton wpadł w bezpieczne miejsce, kucnął i wstrzymał oddech. Dostrzegł na tle nieba wkraczającego do walki Ormuzda. Aryman, widząc niebezpieczeństwo, trzępnął swoimi mackami jak gumowymi pasami. W ułamku sekundy skurczyły się w sposób nie pojęty dla ludzkiego rozumu.

Widząc to, Barton stwierdził, że zbliża się straszna walka.

Kiedy wzeszło słońce, zarysy obu bogów były nadal widoczne.

Rośli szybko. W jednej chwili niczym miliardy eksplodujących słońc wykroczyli poza granice Ziemi. Nastąpiła krótka przerwa, a potem zderzenie. Cały wszechświat zadrżał. Zwarli się ciałami, niczym zapaśnicy. Oślepiająca jasność to Ormuzd, lodowata pustka zaś — to Aryman, kosmiczny niszczyciel, który usiłował wchłonąć swojego brata.

Zapowiadała się długa walka. Jak powiedział doktor Meade, może potrwać miliardy lat.

Całymi rojami nadlatywały pszczoły. Ale nie miało to już znaczenia. Dolina, cała Ziemia była polem walki, które stałe się rozszerzało. Wchłaniało wszystko, każdą najmniejszą drobinę we wszechświecie, a może i poza nim. Szczury pierzchały w popłochu, atakowane przez pszczoły. Golemy uciekały również, osłaniając się swoimi szpadami. Na każdą ich igłę przypadało po pięćdziesiąt rozzłoszczonych pszczoł. Przegrywały.

I co najciekawsze, niektóre golemu obracały się w bezkształtne grudki gliny.

Najgorsze były węże. Tu i ówdzie Wędrowcy, którzy ocaleli, rozdeptywali je z namaszczeniem. Z przyjemnością zobaczył niebieskooką blondynkę rozzgniatającą ostrym obcasem węża. Świat wracał do normy.

— Panie Barton! — rozległ się cieniutki głosik obok jego stopy. — Widzę, że się panu udało. Jestem tu za rym kamieniem. Nie chce wychodzić, dopóki nie będzie bezpiecznie.

— Jest bezpiecznie — odparł Barton. Kucnął i wyciągnął rękę. — Wskakuj.

Golem szybko wyszedł z ukrycia. Barton dostrzegł zmianę mimo krótkiego czasu, jaki upłynął od chwili, kiedy widział ją po raz ostatni. Podniósł Mary, aby móc ją lepiej widzieć. Poranne słońce odbijało się migotliwie od jej wilgotnych nagich kończyn. Widok jej smukłego, gibkiego ciała zaparł mu dech w piersiach.

— Trudno uwierzyć, że masz tylko trzynaście lat — powiedział wolno.

— Bo nie mam — odparła bez namysłu. Obróciła się bardziej do słońca. — Drogi Teddy, pojecie wieku nie ma w moim przypadku sensu. Niemniej potrzebuje pomocy. Aryman nadal z dużą siłą oddziałuje na tę substancję. Z każdą chwilą ucieka z niej życie.

Barton zawołał Christophera. Starzec przyczłapał z wysiłkiem do niego.

— Panie Barton! — sapnął. — Nic panu nie jest?

— Czuje się świetnie. Ale mamy mały problem.

Przekształcając glinę, tworzyła swoje ciało. Miało mało czasu. Kształt, jaki nadała sobie, był zdecydowanie kobiecy. Nie przypominała mu teraz dziewczynki, jaką pamiętał. To, co pamiętał, było jednak tylko iluzją.

— Jesteś córką Ormuzda — powiedział nagle.

— Jestem Armaiti — odparła mała postać. — Jego jedyną córką. — Ziewnęła, pochyliła się do przodu, wyciągnęła ręce przed siebie i wskoczyła Bartonowi na ramię. — Jeśli mi pomożecie, spróbuję odzyskać moją normalną postać.

— Jak On? — zapytał z trwogą w głosie Barton. — Będiesz tak duża jak On? Zaśmiała się dźwięcznym głosem.

— Nie. On żyje tam we wszechświecie. Ja żyję tutaj. Nie wiedzieliście tego? Wysłał swoją jedyną córkę, aby żyła na Ziemi. To jest mój dom.

— Więc to ty sprowadziłaś mnie tutaj. Przepuściłaś przez barierę.

— Nie tylko to.

— Co masz na myśli?

— Wysłałam cię przed Zmianą. Odpowiadam za twoje wakacje. Za każdy skręt, jaki wykonał twój samochód. Za tę gumę, którą złapałeś, kiedy chciałeś skręcić na autostradę do Raleigh.

Barton skrzywił się.

— Wymiana koła zajęła mi dwie godziny. Byłem z dala od warsztatów naprawczych, a oprócz tego coś jeszcze stało się z lewarem. Potem było już za późno, by dalej jechać. Musieliśmy zawrócić do Richmond i spędzić tam noc.

Dźwięczny głos Armaiti rozległ się znowu.

— To było najlepsze, co wtedy przyszło mi do głowy. Manipulowałam tobą przez całą drogę do doliny. Zniosłam barierę, abyś mógł tu wjechać.

— A kiedy próbowałem zawrócić... .

— Była tam już z powrotem. Cały czas tam jest, jeśli któryś z nich jej nie znosi. Peter miał odpowiednią moc, aby ją przekraczać. Ja również, ale Peter o tym nie wiedział.

— Wiedziałaś, że Wędrowcom się nie uda. Wiedziałaś, że ich plan rekonstrukcji, że ich mapy, szkice i modele na nic się nie zdadzą.

— Wiedziałam. Wiedziałam o tym nawet przed Zmianą. — Głos Armaiti był łagodny. — Przepraszam, Teddy. Pracowali całymi latami w pocie czoła nad swoimi modelami i planarni. Ale była tylko jedna droga. Tak długo, jak długo był tu Aryman, jak długo trwało porozumienie i Ormuzd przystawał na jego warunki... .

— To miasto nie było chyba tego warte — przerwał jej Barton. — Niewiele was obchodziło, prawda?

— Nie odbieraj tego w ten sposób — powiedziała łagodnie Armaiti. — To była drobna część całości. Ale jednak część. Ta walka obejmuje wielki obszar, większy niż możesz sobie wyobrazić. Sama nawet nigdy nie widziałam, jak daleko się rozciąga. Tylko oni dwaj to wiedzą. Ale Millgate jest ważne. Nie zapomniano o nim. Musiało jednak... .

— Musiało tylko poczekać na swoją kolej — dokończył Barton i zamilkł. — I tym sposobem — odezwał się po chwili — dowiedziałem się, po co zostałem tu sprowadzony. — Uśmiechnął się, szczerząc zęby. — Dobrze, że Peter pożyczył mi swój filtr, inaczej nie miałbym punktu wyjścia w postaci obrazu Ormuzda.

— Wykonałeś swoje zadanie bez zarzutu — powiedziała Armaiti.

— I co teraz? Ormuzd wrócił. Są gdzieś tam. Powłoka iluzji rozplywa się. Co z tobą?

— Nie mogę tu zostać. Jeśli chodzi ci o to, a myślę, że tak.

Barton chrząknął zażenowany.

— Już raz byłaś w ludzkiej postaci. Nie możesz po prostu dodać do niej trochę lat, aby... .

— Obawiam się, że nie, Teddy. Przepraszam.

— Nie nazywaj mnie Teddy!

Armaiti zaśmiała się.

— W porządku, panie Barton. — Dotknęła na chwilę jego dłoni maleńkimi palcami. — Cóż! — powiedziała nagle. — Jest pan gotowy?

— Myślę, że tak. — Barton postawił ją na ziemi. Razem z Christopherem usiedli przy niej. — Co zamierzasz zrobić? Nie znamy twojego prawdziwego wyglądu.

W jej dźwięcznym głosie wyczuwało się cień smutku, kiedy powiedziała:

— W swoim czasie miałam wiele postaci. Cokolwiek pomyślicie, będzie odpowiednie.

— Jestem gotowy — mruknął Christopher.

— W porządku — zgodził się Barton.

Zaczęli się koncentrować; ich twarze napięły się, a ciała zeszywniały. Policzki Christophera zrobiły się fioletowe, a oczy omal nie wyskoczyły z oczodołów. Barton nie zwracał na niego uwagi, koncentrując się z całych sił, jakie mu jeszcze zostały.

Przez chwilę nic się nie działo. Barton wykonał kilka szybkich, głębokich oddechów i zaczął koncentrować się znowu. Widok przed jego oczyma — Christopher i niewielki dziesięciocentymetrowy golem — zafalował i zaczął się rozmywać. Wolno, niedostrzegalnie zaczęło się.

Może wyobraźnia Christophera była silniejsza od jego. Był starszy, mógł mieć większe doświadczenie i więcej czasu na myślenie. W każdym razie to, co wynurzyło się między nimi, całkowicie zaskoczyło Bartona. Była wspaniała. Nieprawdopodobnie piękna. Przestał się koncentrować i powiódł ręką po omacku obok siebie.

Przez chwilę stała między nimi. Rękami wspierała się na biodrach, trzymała wysoko uniesiony podbródek, a jej kruczoczarne włosy opadały kaskadami na nagie białe ramiona. Jej gładkie ciało połyskiwało w porannym słońcu. Miała ogromne czarne oczy i duże, jędrne piersi.

Barton zamknął oczy. Była esencją pokolenia. Tryskającą energią kobietą pełną życia. Czuł tę siłę, tę energię, która wypełnia wszystko, co żyje, wszystkie stworzenia, tę niezwykłą energię życia, która wibrowała i pulsowała, emanując we wszystkich kierunkach.

To była ostatnia chwila, kiedy ją widział. Opuszczała ich. Raz jeszcze usłyszał jej soczysty, łagodny śmiech. Czuł jeszcze jej obecność, choć szybko rozplywała się wokoło. Wnikała w ziemię, drzewa, mieniące się krzewy i winorośl. Podpływała szybko do nich niczym rzeka życia. Zamrugnął, przetarł oczy i przymknął.

Kiedy je po chwili otworzył, już jej nie było.

Był wieczór. Barton wolno manewrował swoim zakurzonym żółtym packardem ulicami Millgate. Nadal miał na sobie ów pomięty garnitur, lecz był ogolony, wykąpany i wypoczęty po tej niezwykłej nocy. Biorąc wszystko pod uwagę, czuł się dobrze.

Kiedy minął park, zwolnił, prawie się zatrzymując. Poczuł przenikający go ciepły strumień satysfakcji. Rodzaj osobistej dumy. Był tam. Taki jak zawsze. Część oryginalnej całości. Był z powrotem po wszystkich tych latach. Miał w tym swój udział.

Dzieci baraszkowały, biegając wzdłuż zwirowych ścieżek. Jedno siedziało na brzegu fontanny, nakładając buty. Tu i ówdzie stały dziecięce wózki. Kilku starców siedziało z rozkraczonymi nogami, trzymając w kieszeniach zwinięte gazety. Widok tych ludzi działał na niego lepiej niż widok dawnej armaty i masztu z flagą.

To byli prawdziwi ludzie. Obszar rekonstrukcji po odejściu Arymana ponownie zwiększał swój zasięg. Coraz więcej ludzi, miejsc, budynków i ulic zrzucało powłokę iluzji. Za kilka dni obejmie to już całą dolinę.

Zawrócił na główną ulicę. Na jednym jej końcu nadal był napis: ULICA

JEFFERSONA — na drugim zaś pojawił się już pierwszy szyld z napisem: ULICA CENTRALNA.

Dalej był Bank. Stary Bank Handlowy Millgate z cegły i betonu. Taki jak zawsze. Herbaciarni dla pań już nie było — zniknęła na zawsze, jeśli wszystko potoczy się dalej tak jak dotychczas. Wyglądający poważnie mężczyźni wchodzili i wychodzili przez szerokie drzwi wejściowe. Nad drzwiami wisiała, połyskując w wieczornym słońcu, łyżka do opon Arona Northrupa.

Barton jechał wolno ulicą Centralną. Miejscami proces rekonstrukcji tworzył dziwne efekty. Dawny sklep Doyle'a z towarami skórzanymi był zrekonstruowany dotychczas tylko w połowie; drugą nadal był sklep warzywny. Kilku przechodniów stało przed nim i patrzyło w zdumieniu. To było dziwne uczucie, kiedy się miało wejść do sklepu, który należał do dwóch różnych rzeczywistości. Zmiana cofała się.

— Panie Barton! — rozległ się znajomy głos.

Barton zatrzymał się. Z klubu Magnolia wyskoczył Christopher z kuflem piwa w ręce i wesołym uśmiechem na pogodnej twarzy.

— Niech pan się zatrzyma! — krzyknął podekscytowany. — Mój sklep pokaże się lada chwila. Niech pan trzyma za mnie kciuki.

Nie mylił się. Ręczna pralnia zaczęła się rozmazywać. Fala obszaru rekonstrukcji była już tuż-tuż. Stojący przed nią stary, zniszczony klub Magnolia zaczął blednąć. Zza jego niknącego zarysu wyłaniał się inny, wyraźniejszy. Christopher obserwował to z mieszanymi uczuciami.

— Chyba będzie mi brak tej speluny — powiedział. — Ostatecznie, kiedy bywało się tu przez osiemnaście lat. . .

Trzymany przez niego kufel piwa zniknął. W tym samym czasie zniknęły także ostatnie deski klubu Magnolia. Stopniowo na jego miejscu zaczął się pojawiać okazale się prezentujący sklep obuwniczy.

Christopher zaklął z przerażeniem, kiedy nagle zobaczył, że ściska za pasek damski pantofel z wysokim obcasem.

— Teraz ty — powiedział Barton ubawiony jego widokiem. — Znika palarnia. To nie potrwa długo.

Barton mógł już dostrzec wyłaniający się zarys sklepu i punktu usługowego Willa. Christopher także się zmieniał. Był pochłonięty obserwowaniem swojego sklepu i nawet nie dostrzegł swojej przemiany. Jego ciało wyprostowało się, tracąc przygarbienie. Skóra rozjaśniła się i pokryła rumieńcami, których Barton u niego dotąd nie widział. Oczy przeniknął blask, a ręce przestały się trząść. Jego brudny płaszcz i spodnie zmieniły się w roboczą koszulę, spodnie w niebieską kratę i skórzany fartuch.

Ostatnie zarysy ręcznej pralni rozmyły się. Zniknęły i pojawił się sklep Willa — Sprzedaż i Naprawa.

Za czystą szybą, w eleganckiej witrynie połyskiwały telewizory. Był to jasny nowoczesny obiekt. Z neonami. Przechodnie zatrzymywali się i z zadowoleniem spoglądali na ekrany. Sklep Willa prezentował się okazale. Jak na razie był najbardziej na ulicy Centralnej.

Christopher stał niespokojny. Nie mógł się doczekać, aby wejść do środka i przystąpić do pracy. Nerwowo uderzał palcem tkwiący w pasie śrubokręt.

— Na kontuarze stoi obudowa telewizora — wyjaśnił Bartonowi Christopher. — Czeka na wmontowanie kineskopu.

— W porządku — powiedział Barton, uśmiechając się. — Niech pan wraca do środka. Nie chcę odrywać pana od pracy.

Christopher spojrział na Bartona i uśmiechnął się do niego przyjaźnie, lecz jakiś cień pojawił się na jego dobroduszej twarzy.

— W porządku — powiedział donośnym głosem. — Jeszcze się zobaczymy, proszę pana.

— Proszę pana?! — powtórzył Barton zdziwiony oficjalnym tonem Christophera.

— Wydaje mi się, że znam pana — mruknął Christopher głęboko zamyślony — ale nie bardzo przypominam sobie skąd.

Smutek ogarnął Bartona.

— Nie do wiary — mruknął.

— Wydaje mi się, że coś dla pana robiłem. Skądś znam pańską twarz, ale nie mogę sobie przypomnieć skąd.

— Mieszkałem tu kiedyś.

— I wyjechał pan, prawda?

— Moja rodzina przeniosła się do Richmond. To było bardzo dawno temu. Byłem wtedy jeszcze dzieckiem. Urodziłem się tutaj.

— No pewnie! Widywałem tu pana. Cholera, zapomniałem. Proszę mi przypomnieć, jak się pan nazywa. — Christopher zmarszczył brwi. — Ted... hm. Pan tu się wychował. Byliśmy wtedy kolegami. Ted... .

— Ted Barton.

— No pewnie. — Christopher wsunął rękę do samochodu i uściśnił sobie dłoń. — Cieszę się, że znowu tu pana widzę, Barton. Zamierza się tu pan zatrzymać na jakiś czas?

— Nie — odparł Barton. — Muszę już jechać.

— Jedzie pan tedy na urlop?

— Tak.

— Wielu tędy przejeżdża. — Christopher wskazał na drogę, na której zaczęły pojawiać się samochody. — Millgate to stale rozwijające się miasto.

— Z przyszłością — powiedział Barton.

— Jak pan widzi, mój sklep został tak oznakowany i urządzony, aby przyciągnąć uwagę przejeżdżających kierowców. Uważam, że będzie tu z każdym rokiem coraz większy ruch.

— Pewnie ma pan rację — przyznał Barton.

Myślał o zniszczonej drodze, chwastach i starej ciężarówce. Z pewnością będzie tu większy ruch. Millgate było odcięte od świata przez osiemnaście lat; ma sporo do odrobienia.

— Zabawne — powiedział wolno Christopher. — Wie pan, to dziwne, ale cały czas wydaje mi się, że coś się tu stało. Nie tak dawno. Coś, w czym obaj uczestniczyliśmy.

— Naprawdę? — zapytał z nadzieją Barton.

— To musiało mieć coś wspólnego z wieloma ludźmi. I doktorem. Doktorem Morrisem. Lub Meade'em. Ale przecież w Millgate nie ma żadnego doktora Meade'a. A jedynie doktor Dolan. To miało jeszcze coś wspólnego ze zwierzętami!

— Niech pan nie zaprzęta sobie tym głowy — powiedział Barton, uśmiechnąwszy się lekko. Włączył silnik i dodał: — Do zobaczenia, Christopher.

— Niech pan wpadnie, jeśli pan tu jeszcze kiedyś będzie.

— Na pewno wpadnę — odrzekł Barton, ruszając.

Christopher pomachał mu na pożegnanie. Barton zrobił to samo. Po chwili Christopher obrócił się na pięcie i ruszył do sklepu. Był zadowolony, że może wrócić do swojego zajęcia. Płomień rekonstrukcji przeniknął go do głębi — był już całkowicie odtworzony.

Barton jechał wolno przed siebie. Sklepu z towarami żelaznymi i jego dziwaczego właściciela już nie było. To go ucieszyło. Czul, że Millgate lepiej wygląda bez niego.

Minął pensjonat pani Trilling, a raczej to, co nim kiedyś było. Teraz stał tu sklep samochodowy. Za jego ogromną, witryną widniały lśniące fordys. Świetnie. Tylko tak dalej.

To było Millgate takie, jakie mogło być zawsze, gdyby nie pojawił się tu Aryman. Walka nadal toczyła się gdzieś we wszechświecie, ale w tym jednym miejscu zwycięstwo Boga Światła było oczywiste. Być może nie całkowite. Ale bliskie tego.

Kiedy wyjechał z miasta i zaczął długą wspinaczkę, jadąc w kierunku autostrady, przyspieszył. Droga nadal była popękana i zarośnięta chwastami. Nagle uderzyła go pewna myśl: Co z barierą? Jest tu nadal?

Nie było jej. Ciężarówka i rozsypanych okrągłaków nie było. Jedynie przgniecione do ziemi chwasty. To go zdziwiło. Jakimi prawami kierowali się bogowie? Nigdy o tym wcześniej nie myślał, ale wydawało mu się w tym momencie oczywiste, że musieli robić pewne rzeczy, kiedy dochodzili do porozumienia.

Jadąc drogą wijącą się po drugiej stronie gór, przypomniał sobie o dwudziestoczterogodzinnym ultimatum Peg. Pomyślał, że pewnie była już w drodze do Richmond. Znał ją dobrze i wiedział, że nie jest skora do żartów. Następne ich spotkanie odbędzie się w sądzie na sprawie rozwodowej.

Barton usadowił się wygodnie w nagrzanym fotelu. Powrót do życia, jakie dotychczas wiódł, nie był już możliwy. Bez Peg. Wszystko to było już skończone. Zaczął się z tym godzić.

Tak prawdę powiedziawszy, Peg była trochę nudna.

Zaczął przypominać sobie smukłe, lśniące ciało. Gibką postać rozplywającą się w zroszonej glebie. Blask czarnych włosów i oczu, kiedy oddalała się od niego, wnikając w ziemię, która była jej domem. Czerwone usta i białe zęby. I na koniec błysk nagich kończyn.

Odeszła? Armaiti nie odeszła. Była wszędzie. We wszystkich drzewach, w zielonych polach, jeziorach i lasach. Żywnych dolinach i górach znajdujących się po bokach. Była pod nim i wokół niego. Wypełniała cały świat. Żyła w nim. Była jego nieodłącznym elementem.

Dwie strzeliste góry rozdzielały się, robiąc miejsce drodze. Barton minął je wolno. Wznosiły się majestatycznie. Dwa identyczne szczyty połyskujące ciepło w zachodnim słońcu.

Barton westchnął. Wiedział, że będzie teraz szukał wszędzie jej śladów.